№ 35. Warszawa, dnia 15 (27) Sierpnia 1887 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBOT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. Na Prowincyi rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. We Lwowie kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. W Krakowie kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. W Poznaniu kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

DZIENNICZEK JANINY.

Z ŻYCIA PARYZKIEGO.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

26 Maja 1883 roku.

Dzisiaj Zielone Świątki, powracamy z kościoła naszego. Po nabożeństwie starzy towarzysze broni, zabrali nam dziadunia, powróci dopiero około szóstej. Bracia poszli z kolegami na daleką majówkę od dawna ułożoną, pan Stanisław wziął ich w opiekę, wieczorem obu przyprowadzi.

Chciała mama iść ze mną do luksemburskiego ogrodu, alem się od tego wyprosiła. Poszła sama do cioci, wróci z nią dopiero na obiad. Mam przed sobą pięć godzin, niezawsze to się zdarza. Dalejże do dzienniczka mego, zapiszę swobodnie kilka kartek.

Postanowiłam dziś nakreślić historyę moich lat szesnastu, a raczej dwunastu, bo pierwszych czterech nic a nic nie pamiętam. Najdawniejsze wspomnienia moje sięgają czasów, krwią i łuną pożarną zapisanych w dziejach Paryża. Z opowiadań późniejszych, wiem jak ciężki głód trapił oblężone miasto, ale ja nie wiedziałam nic o tym głodzie, mnie nigdy na niczem nie zbywało.

Ojciec odprawiał służbę na wałach. Ciocia Helena, skrzepła od zimna, obsypana śniegiem, wyczekiwała codzień po kilka godzin, na funt końskiego mięsa, by obdzielić nim całą rodzinę. Mama krzątała się po domu, gotowała, prała bieliznę. Dziadunio i babunia, czuwali nademną, nad starszym ode mnie o lat cztery Wacusiem i nad trzyletnim Kaziem.

Pamiętam jak przez sen, dzień nowego roku. Dziadunio przyniósł nam kilka cukierków, a potem poszliśmy wszyscy do Sorbońskiego kościoła, babunia tylko została z Kaziem w domu. Gdyśmy wrócili, mama przyrządziła obiad, ubogi zapewne, jak były ówczesne obiady, ale jaki, już tego nie pamiętam.

Przypominam sobie tylko, że kiedy mieliśmy wstawać od stołu, wszedł do pokoju śliczny chłopczyk, o pół głowy wyższy od Wacusia. Włoski miał jasne, długie, przystrzyżone tylko nad czołem, twarzyczkę okrągłą, rumianą.

— Staś, Staś! — zawołał Wacek i pobiegł z radością do chłopczyka.

Nie po raz to pierwszy spotkałam Stasia, widywałam go często, ale po raz pierwszy zarysował się wyraźnie w pamięci mojej. Widzę go jeszcze w bluzce szafirowej, spiętej na pasek z klamrą, w białym kołnierzyku i błękitnej krawatce. Trzymał coś w serwecie, przystąpił do dziadunia.

— Oto — rzekł — kolenda od mamy mojej.

Dziadunio rozwiązał serwetę, była w niej porcelanowa miseczka, pełna ugotowanych kartofli.

— Ha, to prawdziwa osobliwość! — zawołał dziadunio — patrzcie dzieci, od dwóch miesięcy nie mieliśmy takiej uczty. Pójdę sam, podziękować mamie twojej, a teraz siadaj z nami chłopczyku, posilemy się razem.

Staś chciał natychmiast odejść, ale dziadunio zatrzymał go, posadził przy mnie u stołu.

— Janko — rzekł — poczęstujże sąsiada czekoladką.

Uczyniłam jak kazał, mama tymczasem każdemu położyła na talerz po parę kartofelków, bardzo nam smakowały.

Od tego dnia wszystko lepiej jakoś pojmować zaczęłam.

Przypominam sobie jak jednej nocy, przebudziłam się ze snu. W domu wielki był ruch i zamęt.

Mama wstała, wszyscy zeszli się w jej pokoju, gdzie było moje łóżeczko.

Nagle powstał straszliwy huk, aż się szyby zatrzęsły. Babunia załamuje ręce. Mama przebiega z jednego pokoju do drugiego.

— Co to jest dziaduniu? — pytam przerażona widokiem trwogi powszechnej.

— To pruskie bomby — rzekł dziadunio — ty tego nie rozumiesz, później ci wytłomaczę.

W dzień było spokojnie, ale następnej nocy, powtarzało się to samo. W kilka dni potem, ojciec przybył, jak mówiono z okopów, kazał znieść łóżka do piwnicy. Czarno tam było, straszno. Ile czasu przebyliśmy tak, sama nie wiem, bo każdy dzień wydawał się okropnie długi. Nikt nie ruszał się z miejsca, ciocia tylko dzień w dzień wychodziła z koszykiem. Gdy nie było jej wśród nas, a huk rozlegał się opodal, biedna babunia zalewała się łzami.

Skończyły się wreszcie te ciężkie dni w piwnicy. Bomby nie przebiegały już nad miastem, wróciliśmy na czwarte piętro. Aż tu jednej nocy, nowy zgiełk, nowa trwoga. Niebo całe iskrzy się od płomieni, w ulicy huk straszliwy.

— Czy to znów pruskie bomby? — zapytuję dziadunia.

— Gorzej niż pruskie, dziecię moje, to Francuzi biją Francuzów, bracia mordują braci.

Nie zrozumiałam tego wówczas, ale wrażenie tej okropnej nocy i dwóch co po niej nastąpiły; wyryło się głęboko w pamięci mojej.

Przy krwawym blasku łun pożarnych, skończył się pierwszy akt mego życia.

Dni odtąd ubiegały cicho w domu naszym. Nadeszło lato, codzień o piątej wieczorem, dziadunio prowadził nas do ogrodu luksemburskiego, przychodził tam również major ze swoim Stasiem. Starzy towarzysze broni siadali na ławeczce w cieniu kasztanów, bawili się gawędką. My dzieci biegaliśmy jak rozpląsane koniki.

Staś nauczył mnie skakać przez sznur, toczyć koło a potem grać w wolanta. Zmęczeni przybiegamy do dziadków naszych, siadamy na ziemi u ich nóg, a oni opowiadają nam jak dziećmi biegali po Saskim ogrodzie, jak odbywali wesołe majówki na Bielany albo do Czerniakowa.

Następne lato zbiegło jeszcze weselej. Wacuś zaczął chodzić do szkoły, w czem poprzedził go Staś o rok starszy. Dziadunio przyniósł mi elementarz z obrazkami, pokazał mi jak składać litery. Uczyłam się pilnie, szczególniej kiedy na kolendę otrzymałam „Wiązanie Helenki" od Stasia.

Mijały lata i nic się nie zmieniło w życiu naszem. Mieszkaliśmy zawsze w bliskości Luksemburga, tu gdzie i dziś mieszkamy. Miałam jak pamiętam lat ośm, kiedy dziadunio przyniósł nam pielgrzyma w Dobromilu.

— Widzisz — rzekł, pokazując pierwszy obrazek — tego starca otoczonego dziateczkami. Wyobraźcie sobie, że jestem owym pielgrzymem. Wszakże mam taką jak on brodę, jak on opieram się na kiju. Od dziś dnia, codzień nad wieczorem, kiedy Staś i Wacuś powrócą ze szkoły, pójdziemy razem do ogrodu, zasiądziemy w miejscu ubocznem, a ja opowiadać wam będę to samo, chociaż innemi słowy, co ten pielgrzym opowiadał swej dziatwie. A cóż? czy zgoda na to?

— Zgoda, zgoda! — wołaliśmy wszyscy, mały Kazio aż skakał z radości.

Miłeż to były te wieczory, nigdy ich w życiu nie zapomnę. Świat jakiś nieznany otwierał się przed oczami mojemi. Dziadunio kijkiem na piasku zakreślił granice Polski, jaką była za Chrobrego i później w różnych czasach; oznaczał bieg Wisły, Warty, Niemna, Dniepru i ważniejsze miasta nad niemi, kazał nam się przypatrzyć dobrze, a potem zacierał wszystkie ślady i każdemu z nas kazał z pamięci kreślić cośmy przed chwilą widzieli i to dopóty, aż się utworzyła mniej więcej udatna całość. Staś najstarszy, sprawiał się najdzielniej. Wacuś śmiał się ze mnie, kiedy poplątałam rzeki i nie mogłam trafić z niemi do końca, ale Staś zawsze stawał w mojej obronie.

— Daj pokój biednej Jance — mówił — sami historycy czasami się poplączą i nie rozumieją biegu rzek naszych. Słyszałem to z ust uczonego profesora.

— Brawo Stasiu! nauka nie poszła w las—rzekł z uśmiechem dziadunio.

Jesień nadeszła z nią przywlekły się mgły i deszcze. Lato nie wystarczyło na cały przebieg dziejów naszych. W długie wieczory, dziadunio wołał nas do pokoju swego i przy ciepłem kominku opowiadał coraz ciekawsze rzeczy.

Staś przychodził zawsze na te zebrania. Korzyść z owej nauki pokazała się wkrótce. W roku następnym 1878, otworzono wielką wystawę. Dziadunio oprowadzał nas po głównych działach, tłomaczył nam obrazy Matejki, Siemiradzkiego, Brandta, pokazywał pełne życia ukraińskie sceny Chełmońskiego. Najdłużej zatrzymywał nas w Trocadero, gdzie w wielkiej sali zebrane były rozliczne pomniki z przeszłości naszej: zbroje, rynsztunki, skrzydła husarzy, słuckie pasy, krzywe kordy i karabele, obrazy, rzeźby, monety i mnóstwo innych rzeczy.

— Wszystko co tu widzicie—rzekł dziadunio—należy do dawno ubiegłych czasów, a teraz chodźmy dalej, pokażę wam to co trwa dotąd i żyje pełnem życiem.

I poprowadził nas do osobnej budowy. Zdziwiłam się zrazu na widok trupich głów, szkieletów, urn, narzędzi bronzowych i kamiennych, dobytych z głębi ziemi, we wszystkich krajach świata. Nagle błysnęły mi w oczy, malownicze ubiory wiejskie, rozwieszone na manekinach.

— To świty naszych włościan — rzekł dziadunio — i stroje wieśniaczek naszych, dawno ich nie widziałem! takie były przed pięćdziesięciu laty, kiedy z kijem wędrownym, przebiegałem kraj od Warty, po Kaliskie podgórza naszych Bieskid i Tatrów!

— Patrz, Stasiu! — zawołałam, pokazując białą kierezyę krakowską, obciśniętą rzemiennym pasem z mosiężnemi kółkami — taką to nosił Wiesław, kiedy pląsał z Haliną!

— Wiesz, Janko, co mi przyszło do głowy — odrzekł Staś — drugiego Lutego imieniny mamy mojej, przebierzemy się po krakowsku.

— Dobrze, dobrze, kochany Stasiu! Ciocia Helka wszystko nam urządzi... Ty będziesz Wiesławem a ja będę Haliną, potańcujemy krakowiaka, zaśpiewamy śliczne piosenki.

Dziś bym tego nie powiedziała, bo też dziś co innego. On już nie małym Stasiem, a ja nie małą Janką. Szkoda mi doprawdy tych czasów.

Piękne zamiary nasze spełzły na niczem. Zamiast wesołych śpiewek, w pierwszych dniach Lutego, płakałam na cmentarzu. Były to pierwsze łzy prawdziwej boleści, dotąd dzień za dniem zbiegał nie tak wesoło! nie przyszło mi nigdy do głowy, że to się zmienić może!

W końcu Listopada spostrzegliśmy wielką zmianę w naszej babuni. Na pytania nasze co jej jest, odpowiadała z uśmiechem:

— To nic, bądźcie spokojni, jak wiosną zaświeci słoneczko, wnet siły mi powrócą.

Dziadunio wezwał lekarza, wnet i drugiego powołał do rady, zapisywali rozmaite leki, ale nic chorej nie pomagało. Gasła widocznie. Na tydzień przed skonem, gdyśmy byli zebrani w jej pokoju, oznajmiła nam najspokojniej, że brat Tadeusz woła ją do siebie, zażądała ostatnich sakramentów.

Dziadunio ani na chwilę nie odstępował od niej, nie płakał, nie żalił się, ale ta milcząca boleść, miała w sobie coś okropnego.

Kiedy skonała, on sam zamknął jej oczy, dwa dni przesiedział przy zmarłej, w milczeniu odprowadził do grobu jej zwłoki, w milczeniu rzucił na trumnę garstkę ziemi ojczystej.

Wkrótce potem zaczęłam rok dwunasty, czas było wziąć się na seryo do nauki. Ciocia Helena, która dotąd nieopuszczała nigdy matki, zajęła sobie mieszkanie o parę domów od nas. Zajęła się wychowaniem panienek polskich, przychodziło ich kilka do niej. Mnie codzień odprowadzał tam dziadunio, a gdy nadeszło lato, po skończonej nauce, chodziliśmy jak dawniej do luksemburskiego ogrodu, co kilka dni odwiedzaliśmy cmentarz na Montparnasse. Staś i obaj bracia towarzyszyli nam podczas wakacyi, uczyli się wybornie: Staś otrzymał już bakaloreat, od roku szkolnego miał pobierać wyższe nauki w szkole politechnicznej. W rok potem Wacuś rozpoczął kursa w fakultecie medycznym.

Minęło odtąd lat pięć, w domu naszym nic się nie zmieniło, tylko siwy włos dziadunia, stał się białym jak mleko, tylko ja z małej Janki, wyrosłam na panienkę, tylko Staś został inżynierem, a zajęty służbą nie mógł już odwiedzać nas codziennie i zamienił się w pana Stanisława, tylko drogi mój ojciec, coraz więcej opuszczał dom i pilnie prowadził jakieś finansowe spekulacye, które poprawiły nieco nasz dobrobyt, a otwierały przed nim, jak mówił, świetną przyszłość.

Dziś kiedy to piszę, Wacuś rozpoczął już kurs piąty, za rok będzie doktorem, tymczasem odbywa praktykę po szpitalach.

Otóż i całe dzieje moich lat szesnastu, przeplatane radością i żałobą, nadzieją i trwogą, długą pracą i krótkim wypoczynkiem.

6 Lipca 1884 roku.

Rok ubiegł a ja nie dorzuciłam ani jednej kartki do mojej książeczki pamiątkowej, bo i cóż tu pisać? Dnie ubiegały jakby woda w rzeczułce, jeden zupełnie podobny do drugiego. Mnie ta jednostajność bynajmniej nie nużyła, ale pisać nie było o czem. Dziś dopiero prąd rzeczułki trącił o kamień, na powierzchnię wody z pluskiem wybiegła piana, dziś niestety mam o czem pisać!

Cholera we Francyi! wczoraj wieczorem dzienniki oznajmiły smutną tę wiadomość. W Tulonie umarło kilkunastu ludzi. Charakter epidemii czysto azyatycki, to dalszy pochód strasznej plagi, co w roku zeszłym dotknęła Egipt, zdziesiątkowała Aleksandryą, na tę wieść oczy Wacusia rozpłonęły:

— Jutro jadę do Tulonu — wyrzekł stanowczym głosem.

Mama zbladła, mnie oddech zatamował się w piersi, dziadunio milczał jak zwykle, ojca nie było w domu.

— Matko! nie zabronisz mi tego — zawołał Wacuś, klękając przed płaczącą—otrzymałem już

patent, nowe pole otwiera się dla mnie, mogę być pożytecznym! dusza moja rwie się do czynu... Matko pozwól mi jechać!

Nie było co odpowiedzieć na tak gorące słowa. W tej chwili nadszedł ojciec. Oboje rodzice z rozdartem sercem pozwolili na wyjazd. Dziś rannym pociągiem, drogi Wacuś opuścił Paryż; odprowadziliśmy go na drogę Lyońską. Dziadunio skreślił krzyżyk nad głową odjeżdżającego, toż samo uczyniła mama. Płakaliśmy wszyscy przy pożegnaniu.

— Dzielny chłopiec! — powtarzał dziadunio — zna służbę, bez namysłu rzuca się w ogień, bądźcie spokojni, nie każda kula trafia, iluż to idzie na wojnę, przecież z niej powracają.

Jakież ja cierpię męki, a muszę udawać spokojną, aby nie krwawić serca biednej mamie.

Pan Stanisław także w Tulonie, odbywa tam roczną służbę wojskową, jako wolontaryusz. Ale otóż i dziadunio, słyszę go w korytarzu, chce mnie zaprowadzić na przechadzkę. Oh! ten ogród luksemburski, jakiż on dziś okropny!

20 Lipca.

Co dwa dni odbieramy list z Tulonu, co dzień kartkę pocztową. Epidemia szerzy się gwałtownie, ludność ucieka tłumnie z miasta, kilku lekarzy padło ofiarą poświęcenia; tak donoszą dzienniki. Wacuś inaczej przedstawia rzecz, zmniejsza niebezpieczeństwo. Komu tu wierzyć, o mój Boże!

30 Lipca.

Wczoraj z rana, odbieramy razem dwie kartki, jedna od Wacusia, druga od pana Stanisława. Mama chwyta za pierwszą, czyta w głos.

„Cholera ustaje, nie mam tu już co czynić, wracam do was najdrożsi rodzice!”

Wszyscy uszczęśliwieni, po raz pierwszy od miesiąca oddychamy swobodniej. Ściskamy się, płaczemy z radości.

— A co? czy nie mówiłem? — szepcze dziadunio — toć nie wszyscy giną na wojnie.

Ja pożeram oczyma drugą kartkę, chciałabym wyrwać ją z rąk mamy, ale nie śmiem.

— I cóż pisze nasz Stasiek? — zagadnie dziadunio, jakby odgadł myśl moją. — Janko, odczytajże to... — I podaje mi upragnioną karteczkę. Biorę ją w rękę... czytam...

„Dodaję to o czem przemilczał Wacuś: niebezpieczeństwo było wielkie, lecz młody doktor pełnił służbę po bohatersku. Otrzymał w nagrodę krzyż legii honorowej. Pięknie rozpoczyna swój zawód.”

Nowa radość, nowe uniesienia, aby to opisać pióro moje nie starczy.

10 Listopada.

Po wielkiej radości nowy smutek i nowa trwoga. Paryż dotknięty epidemią. Wacuś krząta się po szpitalach, przy łożu chorych przepędza dnie i noce.

— Zna służbę, tęgi szermierz — powtarza z dumą dziadunio. — Bądźcie spokojni, Bóg go nie opuści, zachowa go na pociechę i chwałę waszą!

Waszą! zabolało mnie to słowo, czyżby dziadunio przeczuwał, że mu nie długo być już pomiędzy nami?

Ucałowałam pomarszczoną jego rękę. Zrozumiał mnie, przycisnął do piersi i rozpoczął obojętną rozmowę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DZIECI PANA RADZCY.

(OBRAZEK Z ŻYCIA MIEJSKIEGO)

PRZEZ

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg.)

Uprzedziłeś się, przecież ja prawie ciągle patrzę na tego chłopca i widzę, że jest nad wiek swój stateczny i poważny.

— To właśnie źle.

— Więc wolałbyś, żeby było inaczej? On pracuje, on uczy się ciągle, czyta.

— I to źle!

— No, doprawdy teraz już sama nie wiem co podług ciebie jest dobrze.

— Dużo by było o tem mówić, a mama znużona i ja również potrzebuję cokolwiek chociaż wypocząć. Od rana muszę być na nogach, gdyż vice dyrektor podobno cierpi na bezsenność, może więc wstanie wcześnie, a w takim razie i ja, jako gospodarz, muszę być na nogach.

— Naturalnie, naturalnie, mój Adolfie, nie zatrzymuję cię, idź spać.

— Dobranoc, mamie.

— Dobranoc.

Pan inżynier poszedł do swego pokoju, po chwili jednak wrócił.

— O najważniejszem zapomniałem — rzekł.

— O czem, Adolfie.

— Niech mama powie Stasi, żeby była dla niego bardzo uprzejmą...

— Bądź spokojny, pamiętam o tem dobrze.

Niezadługo w apartamentach pana inżyniera wszyscy pogrążeni byli w śnie głębokim, oprócz jednej Stasi, która pomimo niewyspania i zmęczenia, wzięła się do pisania listu do brata.

Czuła potrzebę podzielenia się wrażeniami swemi, a jedynym jej powiernikiem był tylko Czesław.

W długim liście opisała mu dzieje swego pobytu w domu szwagra, ów świetny raut, kaszlącego vice dyrektora, otyłego finansistę, który wciąż o swoim synu opowiadał. Przedstawiła w liście te wszystkie postacie, jakie się przed jej oczami przewinęły, a w rezultacie wyraziła żal za Warszawą, za Ogrodową ulicą i za tem zatrudnieniem, któremu się z takiem zamiłowaniem oddawała:

„Drogi Czesiu, brzmiał jeden ustęp listu, ty jedyny na ziemi powierniku mój i przyjacielu, ty zapewne rozumiesz jak mnie ta cała komedya nuży i męczy, jak przykro dotykają te nadskakiwania i hołdy. Tak niedawno jeszcze, nikt się o mnie nie troszczył, nikt nie interesował. Szłam spokojnie wytkniętą raz drogą, a przy zajęciu, przy pracy, dnie zbiegały szybko. Dziś tu każda godzina tygodniem mi się zdaje; zmiana postępowania Adolfa względem nas, jego szczególna opieka jaką i mnie i mamę otacza, robią na mnie niewypowiedzianie przykre wrażenie. Jesteśmy dziś w jego oczach bardzo drogie, ponieważ jakaś sukcesya ma spaść na nas. O jakże pragnę żeby nas ominęła! Jeszcze jej nie mamy a już się daje we znaki! Po dzisiejszym raucie, na którym zbierałam oklaski za śpiew i słuchałam porównań mego głosu, z głosami najpierwszych artystek (głosu, którego jak wiesz prawie nie mam), przyszła do mnie mama z miną bardzo poważną i tajemniczą zarazem i wykładała mi całą teoryę, jak się zachowywać powinna panienka na mojem stanowisku. Zdawało mi się, że sama wiem jak mam postępować, ale nie... mama mi dała nowe wskazówki! Przedewszystkiem mam być wyjątkowo uprzejmą dla jednego z dygnitarzy kolejowych, zwierzchnika Adolfa. Jest to, jak mi się zdaje, człowieczysko Bogu ducha winien, schorowany, myślący tylko wyłącznie o lekarstwach i doktorach. Przypuszczam i zapewne nie bez słuszności, że moja wyjątkowa uprzejmość tyle go obchodzić będzie co zeszłoroczna zima. Ale są widocznie jakieś plany. Nie trzeba być jasnowidzącą, żeby nie zrozumieć, że taki szwagier dla Adolfa byłby bardzo a bardzo na rękę. Mama powiada, że on ma nadzwyczaj liczne stosunki i że może wiele, bardzo wiele. Usłyszałam przy tem zdanie, że nie ma nic prędzej przemijającego jak młodość; że miłość, o której tyle czytamy w powieściach, istnieje tylko na papierze. Na dowód przytoczyła mi mama moje własne dzieje i postępek pana Kazimierza. Ciekawy jesteś zapewne co odpowiedziałam na to? Przypuszczasz, że znalazłam mnóstwo argumentów. Nie, do czegóżby to doprowadziło? Słuchałam nie przerywając, a mama mówiła dalej, dowodząc, jak szczęśliwy jest ten, kto odrzuciwszy wszelkie złudzenia i mrzonki, zdobywa sobie dobrobyt i komfort, bez którego życie niewiele warto. Patrzyłam mamie w oczy i przyszłam do przekonania, że ona nie podziela tych zdań jakie wygłasza, że mówi je jak lekcyą, której się wyuczyła na pamięć. Powtórzyła nawet kilka frazesów, jakby wyjętych z ust Adolfa, a on, jak wiesz przecie, ma swój styl. Nie przerywałam, słuchałam, a gdy mama odchodząc już, spytała czy posłucham jej dobrych rad, odrzekłam że nie widzę powodu, dla którego miałabym być dla pana vice dyrektora niegrzeczną, że w ogóle traktuję wszystkich uprzejmie, a cóż dopiero takiego dygnitarza, mającego stosunki, wpływy i znaczenie. Mama wzięła to za dobrą monetę, ale westchnęła przytem, pocałowała mnie w czoło i rzekła: poczciwe, biedne dziecko! Rozśmiałam się gorzko gdy wyszła już. Nie z matki, bo wiesz dobrze jak bardzo ją kocham, ale z tych zabiegów ludzkich, z tej chęci wyzyskania każdej sytuacyi, z której można jakąś korzyść wyciągnąć. Rozumiesz to dobrze mój Czesławie.”

Dzień już był gdy Stasia skończyła list. Światło lampy zgasło przy świetle słonecznem.

Spuściła roletę i zmęczona usnęła natychmiast.

VI.

Od czasu wyjazdu pani radzczyni ze Stasią, upłynęło kilka miesięcy i mieszkanko przy ulicy Ogrodowej zajmował sam Czesław.

Pan inżynier zapraszał go bardzo grzecznie na święta, lecz młody człowiek wymówił się brakiem czasu. Tłomaczył się, że dając codzień lekcye za

mało zajmuje się własną nauką i że chwile wolne podczas świąt, na ten cel obracać musi, gdyż inaczej z egzaminami rady by sobie nie dał.

Pewnego dnia, gdy wieczorem powracał do domu, stróż doręczył mu list. Zaadresowany on był szerokim, równym charakterem i nosił na sobie stempel poczty miejskiej.

Czesław zaciekawiony pobiegł co prędzej do mieszkania, zapalił światło i rozerwał kopertę.

Na grubym szarym papierze skreślone były następujące słowa:

„Kochany panie Czesławie! przyjdź jutro do mnie, między piątą a siódmą po południu, to się dowiesz o czem wiedzieć chciałeś.

Seweryn X."

Ów pan Seweryn byłto niegdyś przyjaciel zmarłego radzcy, ojca Czesława, z zawodu prawnik, charakteru szorstkiego trochę, dziwak, ale człowiek niezmiernie prawy i niepokalanie uczciwy. W swoim czasie słynny mecenas, później przestał zajmować się interesami. Majętny, miał więc z czego żyć. Przez cały dzień wertował stare sprawy, rozczytywał się w jurisprudencyi senatu, a wieczorami albo szedł do znajomych na wista, albo też zapraszał do siebie kilku z dawnych towarzyszów, jak ich nazywał „inwalidów palestry" i przy kieliszkn wina gawędził z nimi o kodeksie, procedurze, a najwięcej o dawnych minionych czasach.

Czesław, otrzymawszy od pana Seweryna liścik, nazajutrz punktualnie o godzinie piątej stawił się w jego mieszkaniu.

Stary jurysta, z nogą okręconą kocem, bo mu pedagra trochę dokuczała, z cygarem w ustach, siedział na fotelu przy ogromnem machoniowem biurku, zawalonem stosami papierów.

Gdy wszedł Czesław, mecenas odwrócił głowę. Twarz miał starannie wygoloną, duże myślące czoło, rysy twarzy bardzo regularne. Fizyognomia jego przedstawiała doskonały typ owych senatorów rzymskich, jakich się na obrazach spotyka.

Spojrzał na zegar i rzekł:

— Punktualny jesteś mój chłopcze, takich lubię, siadaj. Cygaro palisz?

— Nie, panie mecenasie.

— Tem lepiej, na to zawsze będzie czas.

— Wino pijasz?

— Nie.

— To także dobrze... ale czasem kieliszek nie zawadzi. Jakiś ty podobny do ojca! a wieszże kto był twój ojciec?

Czesław spojrzał zdumiony.

— Jakżeż bym mógł nie wiedzieć, naturalnie że wiem.

— Oj ty naturalisto! wy wszystko wiecie! I ty pewnie wiesz, że się ojciec twój nazywał Lubicz, że radzcą był...

— Tak.

— No i cóż więcej?

Czesław milczał.

— No i że był moim przyjacielem, o czem nie wiesz. Dobry człowiek, ale mnie słuchać nie chciał i źle na tem wyszedł. Mówiłem mu sto razy: wszystko rzuć, zostań obrońcą. Nie słuchał, sam sobie winien. Całe życie biedę klepał a po śmierci nic nie zostawił, a ja widzisz oto, całe życie nie piłem złego wina, nie paliłem lichych cygar, no i uważasz mój kochanku, jak umrę, to dwaj moi synowie będą mieli przynajmniej przez lat pięć co tracić.

— Czemuż mają tracić?

— Ty, panie Czesławie, zdaje się naturalista jesteś? — spytał patrząc mu w oczy.

— Tak jest, panie mecenasie, chodzę na wydział nauk przyrodniczych.

— I uczysz się podobno dobrze?

— Staram się o to przynajmniej.

— W takim razie powiedz mi, czego u dyabła was tam uczą, kiedy nie znasz najnaturalniejszych rzeczy.

— Przecież nie mówiliśmy o naukach przyrodniczych.

— Ależ, mój kochany, mówiłem że synowie moi w pięć lat stracą to co ja zarobiłem, o tem wątpisz a jednak to taka naturalna historya.

Czesław uśmiechnął się.

— Może nieprawda? Jak pożyjesz tyle lat co ja, to się przekonasz, a może i nie przekonasz się— dodał po chwili namysłu.

— Dlaczego?

— Bo widzisz, mój dobrodzieju, kształcisz się na naturalistę, będziesz więc znał żaby, myszy, szczury, robaki, ale nie ludzi.

— O ludziach uczymy się także.

— Co to znaczy! co wy się tam możecie nauczyć? Ludzi to proszę cię zna prawnik. Im starszy, im doświadczeńszy tem lepiej zna te najżarłoczniejsze stworzenia... te robaki... bo wierz mi, że to także robaki.

— Ściśle biorąc...

— A czy ich weźmiesz ściśle, czy luźno, zawsze ta sama historya. Ale pozwól, naleję ci kieliszek wina.

— Dziękuję, panu mecenasowi, nie pijam.

— Tym razem pić będziesz, ja cię proszę, a dlaczego proszę, to ci powiem później.

Czesław nie oponował, bo wiedział, że stary tego nie lubi. Mecenas nalał kieliszek, podniósł go do góry i przez chwilę przypatrywał się złotawemu płynowi pod światło.

— Zapisz że to sobie — rzekł — i pamiętaj raz na zawsze, że najlepszy kodeks jest francuzki, a najlepsze wino węgierskie; ja ci to powiadam. Twierdzą doktorzy, a oni także są niby to naturaliści, że mnie wino wchodzi w nogę, ale to nieprawda, oni nie znają się; to nie wino, ale siedmdziesiąt pięć lat weszło w nogę, siedmdziesiąt pięć, proszę cię. Pijże-no.

Czesław wychylił kieliszek.

— Krzywisz się?

— Cierpkie trochę.

— Bo się nie znasz, ale mniejsza o to, masz czas. Gdzież jest matka twoja i siostra?

— Są u szwagra.

— U pana inżyniera. Aha, znam, znam... dygnitarz! Nie ma co mówić.

— Tak, ma niezłą posadę.

— Będzie miał jeszcze lepszą z czasem, bo umie koło swoich interesów chodzić. Głowa dobra, plecy giętkie.

Czesław się roześmiał.

— Czegoż się śmiejesz? panie naturalisto, ale pomówmy teraz o interesie. Zapewne domyślasz się, pocom cię fatygował.

— Przypuszczam.

— Ponieważ zgłosiłeś się do mnie w interesie owej sukcesyi, o której gazety piszą, a całe miasto mówi, więc obiecałem ci, że się dowiem, jak ta rzecz z blizka wygląda. Otóż...

— Już pan mecenas wie?

— Czekaj, czekaj, powoli, po porządku. Powiedziałem, że się dowiem, a że mam za granicą znajomość i stosunki z prawnikami, przeto napisałem do jednego z nich z prośbą, żeby dobrze tę rzecz zbadał i doniósł mi właśnie oto wczoraj...

— Nadeszła odpowiedź?! — zapytał z pewnym niepokojem Czesław.

— Wczoraj przyniesiono mi z poczty list i natychmiast cię w skutek tego listu wezwałem. Napijno się jeszcze kieliszek wina.

— Kiedy, panie mecenasie, nie mogę, doprawdy nie mogę.

— Napij się, bo przy takich interesach spadkowych bywają rozmaite emocye. Czasem wielka radość, a częściej zawiedziona nadzieja, częściej nawet zawód aniżeli radość.

— Więc zawód, panie mecenasie?

— Nie.

— A za tem wielka radość?

— I to także nie.

— No, to już sam nie wiem czego się spodziewać?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Córka na wydaniu, farsa w trzech aktach, napisana przez Edwarda Zdanowskiego (ślusarza).

Pan Zdanowski pierwszy raz wystąpił w teatrzyku przy Nowym-Świecie, z utworem scenicznym, zatytułowanym „Córka na wydaniu". Praca ta pełna nieprawdopodobieństw, ani myślą, ani dowcipem nie sięga wyżyn poetycznych, a jednak rzecz szczególna rozlanem w niej życiem, wesołością a i humorem także, z wielkiem zajęciem jest słuchaną przez publiczność i szczerze oklaskiwaną. Osnowa w niej nienowa i wcale niezawiła.

Ojciec ma cztery córki, które pragnie wydać zamąż, co jest zupełnie naturalne, i w tym celu idzie do kantoru stręczeń małżeństw, co znów najzupełniej jest nienaturalne bo kantorów takich w Warszawie nie mamy. Niedość jednak, że pragnie wydać zamąż córki swe, ale żąda nadto zięciów pieniężnych, aby przy ich pomocy mógł spłacić należytość już przez komornika egzekwowaną, co już najzupełniej jest nieprawdopodobne zarówno w pomyśle jak w wykonaniu. Zięć bezinteresowny jest trudny do znalezienia, cóż dopiero biorący pannę bez posagu i w dodatku płacący dług za ojca. Zdarzają się wprawdzie tacy, ale to są białe kruki, jak wielkie losy w loteryi, na możności wygrania których ani działania w życiu, ani w komedyi opierać niemożna.

Mimo tego pani Rajfurkowska interes powierzony sobie bierze do serca, wyszukuje dwóch ochotników do małżeńskiego stanu i wprowadza ich na bal do ojca czterech córek, który choć kurcząc się, krztusząc, drapiąc w głowę i wzdychając, wyprawia wreszcie w nadziei znalezienia bogatego zięcia. Tymczasem jeden z przedstawionych ochotników do małżeńskiego stanu, rozbałamuca podstarzałą, ale bogatą kuzynkę, wykrada ją, obdziera w drodze i wypędza, a ojciec czterech córek wyciągnięty na niefortunne wydatki, spotyka się z komornikiem i truchleje z rozpaczy.

Ale szczęściem i to zupełnie niespodziewanem, drugi ochotnik do małżeństwa, podstarzały ale pe-

łen zacności człowiek, litwin rodem, rozpatrzywszy się w położeniu, więcej przez wrodzoną sobie poczciwość, oświadcza się o jedną z panien i tym sposobem dźwiga zupełnie upadłą rodzinę.

W tak skromnej osnowie, śmiechu tu jednak pełno, wprowadzone postacie choć wykoncypowane ale zabawne, dowcipy czasem rubaszne, ale nie rażą, słowem sztuka podoba się widzom, bo miara wszędzie utrzymana, nic w niej nie wyskakuje zbyt krzykliwie i płynie łatwo i ze swobodą.

Autor do nazwiska swego przyczepił tytuł ślusarza, zapewne jest nim co mu wielce chwalimy, niechże więc i dalej pracuje w swym zawodzie, ale gdy go gorączka pisarska poruszy, niech napisze i drugą i trzecią podobną farsę, a każdą przyjmiemy życzliwie bo i farsa dobra byle ze swego gruntu wyrosła, jest utworem wielce pożądanym.

J. G.

ŚWIETNE MAŁŻEŃSTWO.

PRZEZ

Ludwika Halévy.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

27 Listopada.

Otóż od pani Mercerey mama dowiedziała się następującej historyi:

Dwaj hrabiowie de Martelle-Simieuse, starszy Adryan, któremu ja się podobałam i młodszy Paweł, który służy w wojsku, stracili przed dziewięcioma laty babkę bardzo bogatą, lecz dziwaczkę potroszę. Zresztą była to podobno dobra osoba, mająca jedne tylko manię: uwiecznić w przyszłości ród swój.

Zdawało jej się, że nastąpiłby koniec świata, gdyby wygasł ród hrabiów de Martelle-Simieuse. Dlatego też w testamencie zostawiła następujące rozporządzenie: podzieliła cały majątek między spadkobierców z wyjątkiem miliona, który przeznaczyła wnukowi Adryanowi, jeźli tenże ożeni się mając lat dwadzieścia pięć. W przeciwnym razie milion ma przejść na drugiego wnuka Pawła ale pod takimże samym warunkiem. Jeżeli zaś Adryan i Paweł pozostaną bezżennymi, milion wraz z procentami użyty zostanie na cele dobroczynne.

Otóż zapis kochanej babci dorósł obecnie do półtora miliona. Do tej pory Adryan nie okazywał najmniejszej chęci do ożenienia. Namiętnie zamiłowany w polowaniach, wyścigach i tym podobnych rozrywkach, cenił nadewszystko swą wolność kawalerską i nie dał sobie nawet wspomnieć o małżeństwie: „Ja się nigdy nie ożenię, mawiał, mam oto ośmdziesiąt tysięcy liwrów rocznego dochodu, mogę więc przy oszczędności porządnie się z tego utrzymać."

Mając takie przekonanie, widział bez trwogi zbliżający się dzień swojej dwudziestopięcioletniej rocznicy urodzin, która miała nastąpić 10-go Stycznia.

Lecz nieprzewidziane wypadki wpłynęły na zmianę jego przekonań.

Przy końcu zeszłego roku obudziła się w wielkim świecie chęć walczenia ze wzrastającą potęgą spanoszonych finansistów... Adryan wplątał się więc także w spekulacye nietyle przez wyrachowanie ile z pewnego poczucia rycerskości, które kazało mu wspomagać ludzi dobrze myślących.

Biedaczysko! stracił na tem blizko milion franków, dochody jego zmniejszyły się znacznie. Lecz przyznać należy, że przyjął tę zmianę z rezygnacyą, sprzedał zbytkowne konie, pooddalał służących...

Trwał jednak niezmiennie w swem postanowieniu nie ożenienia się nigdy. Może z miesiąc temu przyjaciele zaczęli się oburzać, dowodząc mu, że popełnia wierutne głupstwo wypuszczając dobrowolnie z ręki półtora miliona. Czyżby to dla niego była tak wielka przykrość ożenić się z ładną i posażną dziewczyną? Taka przykroć zamienia się łatwo w przyjemność.

Hrabia zmiękł jakoś i upoważnił swoją kuzynkę, panią de Riémiens, ażeby wyszukała odpowiedniej dla niego partyi. Kuzynka zaproponowała mu Katarzynę de Puymarin, bogatą lecz chudą jak szczapa.

Nic więc dziwnego, że nie podobała się hrabiemu, raz z powodu brzydoty a powtóre dlatego, że źle jeździ konno. Sam zawołany sportsmen, chciał by jego żona również dobrze umiała dosiąść konia.

Jednakże czas upływał, hrabia nie mógł się zdecydować; może byłby się i dał w końcu namówić, gdy nadszedł stanowczy dzień dwudziestego czwartego Listopada w którym ujrzał mnie na koniu.

Owego dnia zamiast jechać jak zwykle do lasku po południu, wybrałam się rano z panem Coates, nauczycielem konnej jazdy, który uważa mnie za najlepszą swoją uczenicę i często towarzyszy mi na spacer.

Wyjechałam z domu o dziesiątej, pod opieką miss Morton i spotkałam się z panem Coates, którego służący przyprowadził mi konia.

Wierzchowiec mój, Triboulet, miał dziś bardzo hardą minę; nie wyjeżdżałam bowiem dwa dni z domu.

A że spóźniłam się dziś zrana, Wirginia uczesała mnie pospiesznie, zwinąwszy, licho wie po jakiemu, moje grube warkocze i zapiąwszy je śpilkami.

Z pomocą pana Coates wsiadłam na konia nie bez trudności jednak, bo Triboulet kręcił się jak szatan. Skoro mnie poczuł na grzbiecie, zaczął się wspinać i wierzgać, ale ja siedzę dobrze na koniu; dałam mu więc szpicrutą surowe napomnienie. Lecz podczas tej rozprawy grube moje warkocze rozpięły się i roztoczyły po ramionach, unosząc z sobą kapelusz, a ja z gołą głową, z rozwianemi włosami, usiłowałam powstrzymać szalejącego konia.

W tejże chwili z przeciwnej strony nadjechał Adryan hrabia de Martelle-Simieuse. Ujrzawszy mnie stanął zdumiony w postawie pełnej szacunku i powiedział sobie w duszy:

— Ah! jak ona mistrzowsko włada koniem, a co za przepyszne ma włosy, no i buzię wcale nieszpetną!

Zdołałam nareszcie uspokoić mego konia. Groom z trudem znalazłszy kilka śpilek w piasku, podał mi je a ja jako tako upięłam włosy i włożyłam na głowę kapelusz.

Nareszcie rozpoczęliśmy przerwany spacer, a za nami w przyzwoitej odległości jechał hrabia de Martelle Simieuse, podziwiając, ma się rozumieć, moje wdzięki.

Ja w niewinności ducha, ani nie domyślałam się jakie uczyniłam wrażenie. Powietrze było ostre i przykre, jechaliśmy więc prędko a Triboulet kilka razy miał znów chęć zbuntować się przeciw mej władzy, ale ze mną niełatwa sprawa. Pan Coates był poprostu zachwycony mną.

— Władasz dziś pani koniem jak anioł — rzekł mi.

Zdaje mi się, że mój drugi groom był tego samego zdania.

— Ależ ona cudownie dosiada konia — powtarzał sobie hrabia w myśli, porównywając mnie do Katarzyny de Puymarin.

Skończywszy przejażdżkę po parku, przesiadłam się do powozu i razem z miss Morton powróciłam na ulicę Varennes. Pan hrabia jechał tuż za nami, widział dokąd wjechałam i przekonał się, że mieszkam dosyć przyzwoicie, w arystokratycznej dzielnicy miasta, że zatem prawdopodobnie nie jestem żadną awanturnicą.

Ale jak się dowiedzieć o nazwisku tej nieustraszonej amazonki? No to rzecz bardzo prosta! Hrabia wraca czemprędzej do domu i szuka w spisie adresowym, zawierającym piętnaście tysięcy adresów. Ztamtąd dowiaduje się, że pod numerem 49 przy ulicy Varennes, mieszkają baronostwo Léoty.

Wie już zatem nazwisko tej, która może będzie wierną towarzyszką jego życia. Znał on ojca z klubu, lecz nie wiedział czy baron Léoty ma córkę i czy tą córką byłam ja? Bądź co bądź należało rozwikłać tę zagadkę.

Przypadek zdarzył że tegoż dnia wieczorem Adryan był na obiedzie u państwa Mercerey i z niechcenia wśród rozmowy, zapytał panią Mercerey:

— Czy pani zna pana de Léoty?

— Doskonale.

— Czy ten pan ma córkę?

— Tak.

— A w jakim wieku?

— Może mieć około lat dwudziestu.

— I jest ładna, nieprawdaż?

Tu widocznie podniósł się hymn pochwalny na korzyść mojej osoby. On tylko jeden nieszczęśliwy nie znał mnie jeszcze. Pani de Mercerey spytała go dlaczego się wypytuje? Hrabia więc opowiedział jej z zapałem o porannem spotkaniu, o wdzięku i energii z jaką władałam koniem, o pysznych moich włosach, na których igrały promienie słońca. Jednem słowem, mówiąc o mnie, pan hrabia wpadł w opis lyryczno-poetyczny, z ogólnem zdziwieniem wszystkich, którzy go nigdy nie widzieli w podobnym nastroju.

Wtedy pani de Mercerey okazała rzadką i godną podziwu przytomność umysłu. No, trzeba przyznać, że bardzo lubi moją mamę a nienawidzi państwa Puymarin; wprawdzie nienawiść ta datuje się od sześciu tygodni, gdyż przedtem byli oni jej szczerymi przyjaciołmi, lecz pani de Mercerey ma do tego ważny powód a mianowicie:

U Puymarinów były w tym roku trzy przyjęcia: na jednem znajdowali się książęta orleańscy, na drugiem wielki książę Włodzimierz, na ostatniem zaś ludzie bez znaczenia, jakieś tam wybirki. I z nimi to księżna zaprosiła państwa Mercerey, a kto jest tak urodzony i tak bogaty jak państwo Mercerey, nie lubi być tak poniżonym. Ztąd ten gniew najzupełniej podług mnie uzasadniony.

Lecz nie na tem koniec; pani de Mercerey przyszła do głowy myśl genialna. Nie namyślając się ani chwili, opowiada jak najswobodniejszym tonem, w obec zdumionego męża, który nic o tym nie słyszał projekcie, że jutro wieczorem będzie miała u siebie małe kołeczko zaufanych osób, a między niemi panią i pannę de Léoty i że pan de Simieuse będzie również pożądanym gościem, jeśli go nie odstrasza perspektywa słuchania muzyki i jeśli pragnie poznać heroinę z bulońskiego lasku. Pan de Mercerey nie wiedział co to wszystko znaczy.

— Czy nie mylisz się, moja duszko? — zapytał żony — mnie się zdaje, że jutro właśnie mieliśmy iść do teatru Gymnase, na przedstawienie sztuki Feuilleta?

— Nie, mój drogi, do teatru mamy iść pojutrze.

— Zdawało mi się... w istocie nie rozumiem... wszak ja sam zamówiłem ložę.

— Mówię ci, że to na pojutrze.

Pan Mercerey zamilkł a o rozwiązaniu zagadki dowiedział się dopiero, skoro się wszyscy rozeszli goście.

Pani de Mercerey nie poprzestała na tem, zręcznie wciągnąwszy do rozmowy hrabiego, potrafiła w jak najkorzystniejszem przedstawić mnie świetle.

— Irena de Léoty, byłaby właśnie żoną jakiej panu potrzeba; to spotkanie dziś rano, to wyraźny palec Opatrzności; wszak mówią: że śmierć i żona od Boga przeznaczona.

Hrabia zaś powtarzał tylko jedno.

— Ah! jak ona prześlicznie jeździ konno!

Wczoraj pani de Mercerey pomimo silnej migreny, odważnie wzięła się do dzieła: zaprosiła gości, wyszukała muzyków, kazała wydrukować programy, bo nawet programy były drukowane! Co za energia w tej kobiecie!

Na czem to jednak polega przeznaczenie! Gdyby Wirginia była mocniej upięła moje grube warkocze, gdyby Triboulet nie okazał się tak kapryśnym a państwo Puymarin nie zaprosili do siebie państwa Mercerey z towarzystwem bez znaczenia, pan de Simieuse nie zostałby zaproszony do nas jutro na obiad a ja nie zadawałabym sobie następującego pytania:

— Czy będę lub nie będę hrabiną de Martelle Simieuse?

Biedni Puymarin, wrócili umyślnie do Paryża dla przedstawienia światu swego fenomenu! Biedna Katarzyna de Puymarin! Czy ja jej oddam tego poczciwego hrabiego, czy też zatrzymam go dla siebie?

Sama doprawdy nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, lecz muszę przyznać, że ten szósty konkurent wcale nieźle mi się przedstawił i nieomal mogłabym się założyć, że wygra sprawę.

20 Listopada, godzina 10 rano.

Dziś nareszcie mogę już o nim wydać sąd i do tego dosyć przychylny.

Przez te trzy dni ileż to było narad nad wczorajszym obiadem! Czy to ma być wielki czy mały obiad? gdzie posadzić hrabiego? obok mnie czy naprzeciwko?

Mama życzyła sobie, aby siedział naprzeciwko, dowodząc, że ja daleko lepiej wyglądam *en face* jak z profilu, a szczególniej w sukni wyciętej, która, mówiąc nawiasem, była bardziej wyciętą niż na wieczorku u Mercerey... Jest to umiejętność stopniowania!...

Ja jednak uparłam się, aby siedział obok mnie. Nie czułam się bynajmniej onieśmieloną, potrzebowałam go wyciągnąć na słówka, wyspowiadać. Jestem wierna mojej zasadzie, nie chcę wyjść zamąż nieoględnie. Umieszczono go zatem przy mnie z prawej strony.

Ażeby nie być bardzo głodną a tem samem swobodniej prowadzić moje badanie, posiliłam się doskonale o godzinie piątej. Kierowałam też rozmową tak, jak mi się tylko podobało.

Siedzieliśmy przy stole półtorej godziny a po upływie tego czasu doszłam do przekonania, że byliśmy dla siebie stworzeni.

Zaczęliśmy najpierw mówić o powozach i polowaniu. Doskonały początek rozmowy... Przekonałam się wkrótce, że on lubi takie same konie jak ja... nie za szczupłe nie za wielkie... lekkie lecz z ładną postawą. Tak samo zgodziliśmy się w kwestyi uprzęży: on nie cierpi zaprzęgów długich angielską modą, lubi aby koń krótko był wzięty na wędzidło. Wyczytałam w jego twarzy zdziwienie, skoro się przekonał, iż znam się dokładnie na tych rzeczach.

Był zdziwiony i zachwycony zarazem. Z początku znać było po nim, iż jest wzruszony i niepewny, lecz rozmowa wróciła mu swobodę i porozumieliśmy się prędko; pojęcia nasze zgadzały się w zupełności.

Poluje na dziki z piękną rasową psiarnią, liczącą do ośmdziesięciu psów. Opisał mi szczegółowo swój ubiór myśliwski; jest on francuzkim krojem, koloru zeschłych liści, z kołnierzem i kieszeniami z błękitnego aksamitu i szamerunkami z galonu.

Dla nas kobiet to śliczne tło ten odcień zeschłych liści. Marzę już o ślicznym trójgraniastym kapeluszu.

O! gdyby najszczersza moja przyjaciołka, ukochana Cecylia mogła znaleźć męża, któryby mieszkał niedaleko Paryża i lubił znów polować na jelenie.

Ona przyjeżdżałaby do mnie polować na dziki, a ja do niej uganiać się za jeleniami! I nie byłoby pod słońcem szczęśliwszych od nas kobiet!

Lecz cóż znowu mówię o tym panu, jak gdyby był już moim mężem i jakby jego ośmdziesiąt psów należało już do mnie!

Jedna rzecz jeszcze przemawia również za nim. My zazwyczaj jesteśmy skazane na poślubienie mężczyzn, żyjących w najzupełniejszem próżniactwie i z tego powodu często w naszym świecie wkrada się między małżeństwo nuda i zniechęcenie.

Hrabia przeciwnie, jest zajęty i bardzo nawet zajęty. Nie ma ani jednej chwili wolnej, poświęcając rozum i zdolności na usługi rzeczom pożytecznym i eleganckim zarazem. Najpierw należy do rady administracyjnej modnego, świeżo założonego klubu, jest członkiem komitetu towarzystwa strzeleckiego i łyżwiarskiego, jakoteż również i do wyścigów; wszystko to zajmuje i urozmaica mu życie.

Po półgodzinie wiedziałam już wszystko szczegółowo. Potem wybadałam go pod względem przekonań politycznych. A to bardzo ważna kwestya! Nie chciałabym nigdy z tego powodu narazić się na zmartwienia lub rozczarowania, tak jak moja biedna mama, która z tej przyczyny niemało doznała goryczy i na wiele była wystawioną cierpień.

Mama była bardzo szczęśliwa w pożyciu z ojcem i gdyby tylko nie ta nieszczęsna polityka, wszystko byłoby dobrze. Mateczka moja poszła zamąż bardzo młodo za człowieka, który pochodził ze starej monarchicznej rodziny. Była więc równość zupełna.

Lecz w roku 1865 ojciec przyłączył się do cesarstwa, nie uczynił tego bynajmniej z przekonania, tylko przez dobroć. Biedny, kochany ojciec, on jest taki dobry! Zrobił to przez przywiązanie względem swego brata a mojego wuja Armanda, który dziś jest generałem dywizyi a wtedy był zaledwie kapitanem i od Bóg wie kiedy siedział na tej posadzie nic nie awansując dlatego, że mój ojciec nie chciał nigdy przestąpić progu Tuileries.

Nareszcie ojciec namiętnie kochający wuja Armanda, przyjął zaproszenie i obiecał przedstawić mamę u dworu. Było to niesłychane zwycięztwo dla partyi cesarskiej, gdyż w żyłach mamy płynie najczystsza krew arystokratyczna.

Cały dzień poprzedzający owo przyjęcie u dworu, mama spędziła we łzach, jednakże musiała być posłuszną, lecz jadąc wieczorem do pałacu, zrobiła scenę w karecie. Chciała wysiąść koniecznie na pont Royal, pomimo że była w białych atłasowych trzewikach i w różanym wieńcu na głowie, nie zważając, że gruby śnieg zaścielał ziemię! Uległa wreszcie a nie upłynęło jeszcze dwóch tygodni gdy wuj Armand dostał order i w kilka miesięcy później został mianowany dowódzcą szwadronu.

Lecz niestety! wiele podwoi zamknęło się wtedy przed mamą i tatą.

Dla ojca było to rzeczą obojętną a nawet poniekąd może przyjemną, gdyż nie lubi świata a nie przeszkadzało mu to przecie bywać w klubie. Ale dla mamy, świat elegancki i arystokratyczny to dopiero życie; zresztą nie mogła się przecież pocieszać w klubie jak ojciec.

Owe zamknięte podwoje otworzyły się wprawdzie prawie wszystkie, od czasu zaprowadzenia rządów Rzeczypospolitej bo wtedy zapomniano wiele rzeczy. Powiedziałam, prawie wszystkie, lecz otworzą się one przedemną na rozścież, skoro zostanę hrabiną de Martelle Simieuse! Będę wszędzie mile widzianym i pożądanym gościem.

Od początku tego stulecia zachowanie się polityczne hrabiów de Martelle Simieuse, jest bez zarzutu. Nie potknęli się ani razu w okresie dwóch cesarstw.

Rodzina ich co najmniej datuje się od czternastego wieku. Matka Adryana... dobrze, nazywam go już poprostu Adryan... to trochę zawcześnie... A więc jego matka jest z domu Précigny Laroche, co zaś do ojca...

Adryan wydał małą broszurkę, w której mieści się cała genealogia ich rodu wraz z kartą, przedstawiającą wszystkie ich herby... Książeczkę tę rozdał między przyjaciół.

Pani de Mercerey posiadała również jeden egzemplarz, który natychmiast pożyczyła mamie. Przeczytałam kilka razy tę broszurkę i umiem ją na pamięć. Z niej dowiedziałam się, że Adryan jest trzecim hrabią francuzkim; nie czwartym tylko trzecim.

(Dokończenie nastąpi.)

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Sentencya bajki Krasickiego prawie przysłowiowa: gdzie dużo przygotowań tam nic z dyalogu, sprawdziła się na tegorocznem chybionem zupełnie zaćmieniu słońca. Mimo tego stosy papieru zadrukowano o tym buncie chmur przeciw wspaniałemu zjawisku w przestrzeniach niepojętej wielkości. Cóżby dopiero się stało, gdyby zaćmienie udało się, gdyby setki sprawozdań pomieszczono w Pismach i skazano czytelników na ich przeczytanie?

Szkoda jednak wielka, że cień księżyca na słońce padający, zakrył szczelnie chmury. Wrażenie jakie wywołuje widok zaćmionego stopniowo słońca, jego zmniejszanie się blasku, przemiana w gwiazdę, następnie w gwiazdkę i wreszcie zagaśnięcie zupełne i tej malutkiej iskierki a pokrycie się całej otaczającej nas przestrzeni ziemi, mrokiem niezwykłym, nigdy niewidywanym, jest tak silne i przejmujące, że w najtrwardszem i najzupełniej samolubnem sercu, wywołuje trwożne wzruszenie.

Pod wpływem jego, człowiek mimowoli czuje swoją małość a wielkość otaczających go przestrzeni i światów, i korzy się nawet najhardziejszy w pysze swego zarozumienia.

Zaćmienie ostatnie z roku 1851 w takim nastroju ducha było obserwowane. Czas był prześliczny, chmurki na na niebie ani jednej, tłumy ciekawych zalegały wszystkie place w Warszawie, gdyż zaćmienie miało miejsce około godziny czwartej po południu. Gdy ostatni promyczek słońca zagasł tłumy cisza zaległa, jakby każdy z myślą stanął w głębi swego sumienia.

W Saskim ogrodzie ptastwo zaczęło z widoczną trwogą przefruwać od drzewa do drzewa, zmierzch zwiększał się, wszystkie drzewa i ludzie i całe otoczenie przybrało jakieś fantastyczne kształty, a gdy wreszcie po trzech blizko minutach, znów słońce niby gwiazdeczka pokazało się przy drugiej stronie słońca, dał się słyszeć jeden przytłumiony szmer: Aaa! barwiący się tonem radości, jakby patrzącym spadł wielki ciężar z serca, gniotący je z obawy, że słońce na zawsze może zagasło. Szkoda więc, wielka szkoda, że zjawisko to mające dopiero przypaść w roku 1912, nie mogło być w obecnym podziwiane.

Wystawa tkacka, mająca się odbyć w Listopadzie r. b. w salach Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, zainteresowała świat przemysłowy nietylko w kraju, ale i za granicą, co jest dowodem, że wystawa ta ma racyę bytu i że w skutkach swoich może być bardzo pożyteczną.

Zaiteresowanie się wystawą tkacką jest tak silne, że nawet Anglia, a mianowicie ojczyzna przemysłu tkackiego, Manchester, nadesłał do zarządu Muzeum zapytanie: „czy fabrykanci tamtejsi po za konkursem mogą przyjąć udział w wystawie, na którą obiecują przysłać różnorodne i najnowsze wyroby.”

Wystawa więc będzie urozmaiconą i nader zajmującą, jeśli zarząd muzealny uzna za stosowne i dozwoli na przyjęcie udziału w wystawie listopadowej fabrykantom angielskim.

Zanotować również wypada, iż zarząd, celem pozyskania jak największej liczby wystawców krajowych, powołał wielu przedstawicieli przemysłu tkackiego do komitetu, prosząc ich jednocześnie, ażeby wpływem swoim i stosunkami zachęcali fabrykantów do wzięcia udziału w wystawie i jako fachowi, zajęli się jej urządzeniem.

Do komitetu tego z pośród przemysłowców na prowincyi w najgłówniejszych ogniskach przemysłu tkackiego zaproszono pp.: Herbsta, przedstawiciela firmy Szeibler i Heinzla w Łodzi; w Zgierzu pp.: Borsta i Mayerhoffa; w Pabjanicach braci Kindler; w Tomaszowie p. Knote; w Kaliszu pana Rephana; w Białymstoku p. Moesa.

Oprócz tego, dla pozyskania jak największej ilości okazów przemysłu włościańskiego, zaproszono hr. Stanisławową Różę Zamoyską, jako szczególniej opiekującą się w kraju naszym przemysłem włościańskim.

Nadto kancelarya wystawy rozesłała w ostatnich dniach ogłoszenie do wszystkich firm rossyjskich o mających się odbyć wystawach: nasion i tkackiej, mając nadzieję, że i tamtejsi rolnicy i przemysłowcy przyjmą w niej duży udział.

Nowa szkoła dla głuchoniemych.

Pewien obywatel ziemski, człowiek zamożny, powziął projekt założenia na prowincyi niższej dwuklasowej szkoły dla głuchoniemych wraz z nauką rzemiosł i pensyonatem.

Szlachetny filantrop sam jest głuchoniemy, a nie posiadając bliższej rodziny, pragnie na powyższy cel przeznaczyć większą część swego znacznego majątku.

O ile nam wiadomo, odpowiednie podanie do właściwej władzy wraz z warunkami, na których podstawie fundator życzy sobie założyć ową szkołę bezpłatną, zostało już złożone.

Po otrzymaniu odpowiedzi będziemy mogli w tym przedmiocie udzielić bliższych informacyi.

Torpile ogniowe. Tak się nazywają nowego rodzaju przyrządy, uśmierzające siłę ognia podczas pożaru.

Są to bańki metalowe, napełnione jakąś kompozycyą, lekko wybuchającą.

Bańki te wrzucone w ogień pękają, poczem następuje wybuch i płomienie gasną.

Wynalazcą torpil ogniowych jest p. Alfons Grodek, rodak nas, zamieszkały od wielu lat w Ameryce.

Obecnie objeżdża on Europę, celem zaprodukowania swego wynalazku i wkrótce mają być dokonane próby w naszem mieście.

Przed kilkoma tygodniami doniosły pisma o pannie M., której z powodu wielkiej tuszy zalecono kuracyę... głodową.

Oryginalna ta recepta wyszła od jednego z pierwszorzędnych lekarzy, który stanowczo zapewnił, że kuracya podobna będzie o wiele szybszą i skuteczniejszą od marjenbadzkiej.

Rodzice panny M. nie bardzo jakoś wierzyli zapewnieniom lekarza, panna też przyzwyczajona do dobrych obiadków, ani słuchać nie chciała o dyjecie.

Trzeba było jednak coś radzić, gdyż tusza codzień prawie się powiększała; panna poddała się kuracyi.

Przepis doktora nakazywał wstawanie rano o g. 6 i po wypiciu szklanki zimnej wody, przechadzka najmniej półtorej wiorsty; na śniadanie szklanka herbaty i jedna sucha bułka; o 11 przed południem przechadzka trochę mniejsza od rannej; o 2-ej po południu obiad złożony z talerza kwaśnego mleka, kawałka chleba białego, po południu znowu przechadzka i gimnastyka, a na kolacyę szklanka herbaty i jedna bułka; spoczynek nie wcześniej jak o godzinie 11.

Przepis ten co prawda nie bardzo przyjemny, okazał się jednak skutecznym, panna M. bowiem już po dwóch tygodniach uczuła ulgę, po trzech spadła na wadze o sześć funtów, po czterech o ośm a po sześciu tygodniach tych, jak się wyrażała „męczarni”, wróciła prawie do pierwotnego stanu.

W ciągu ostatnich czternastu dni, spadanie tuszy było tak gwałtowne, iż sam lekarz zmienił cokolwiek kuracyę i pozwolił w czasie tym spożywać dziennie trochę rosołu i ćwierć funta mięsa białego.

Ponieważ, jak powiedzieliśmy wyżej kuracya pomogła, po tygodniowym odpoczynku panna M. pościć będzie jeszcze przez trzy tygodnie, ażeby doszła zupełnie do stanu dawnego.

Z życia Depretisa. Zmarły mąż stanu włoski odznaczał się trybem życia prawdziwie spartańskim. Potwierdzić to może także król grecki. W roku 1876 stał Depretis u steru rządu, kiedy przybył do Rzymu władca Helenów.

Minister był wówczas chory obłożnie i poprosił jednego z kolegów, aby króla powitał w imieniu rządu.

Król Jerzy postanowił natychmiast odwiedzić Depretisa. I gdzież go znalazł?

Mąż, który od roku 1848 z kilkoma nawrotami był ministrem i szefem gabinetu, zajmował mieszkanie studenckie za niespełna 40 franków miesięcznie.

Umeblowanie składało się tylko z łóżka, twardej sofy, połamanych krzeseł i wielkiego stołu, na którym w dzikim nieładzie leżały księgi i dzienniki.

Nienawidził też Depretis golarzy i fryzyerów. Broda jego była niezmiernie długa i dlatego nazywano go „Barbabianca”.

Dopiero, gdy się ożenił, a poślubił piękną, młodą i cnotliwą kobietę w 63 roku życia, pozwolił sobie niejakiego komfortu.

W polemice wytrzymywał ze spokojem mędrca wszelkie ataki. Gdy jaki krewki nieprzyjaciel zrobił mu czasem w parlamencie niesłuszny zarzut, Depretis odpowiedział mu co najwyżej:

— Pan sam w to nie wierzysz.

Często pobijał wrogów dowcipem albo kalemburem. Pewnemu radykałowi odpowiedział:

— Ah gazety! Wszak sam byłem dziennikarzem. Wiem więc z własnego doświadczenia, że prasa częstokroć nie ma czasu... mówić prawdę.

Żydzi w Jerozolimie. Wychodząca w Jerozolimie gazeta katolicka „Poseł z Syonu” zwraca uwagę na bezustanny a bardzo szybki przyrost ludności żydowskiej w tem świętem mieście.

Zakupują oni w północnej i północno-zachodniej stronie miasta znaczne przestrzenie placów, które nader energicznie zabudowywują domami. Szeregi ich domów tworzą już teraz całe ulice, a wyrastają niemal codziennie, jak grzyby po deszczu.

Faktem jest, iż żadne wyznanie nie wznosi obecnie w Jerozolimie tyle domów i gmachów, jak żydzi.

W Czerwcu pojawił się w stolicy Ziemi Świętej Rotschild z Frankfurtu, wywołując w całej kolonii żydowskiej ogromną sensacyę.

Jak się dowiaduje wspomniane pismo, pertraktował on z baszą miejscowym w sprawie rozszerzenia terenu, na którym żydom w Jerozolimie wolno dotychczas własne budowle wznosić.

Mianowicie pragnął pozyskać przestrzeń w południowo-wschodniej stronie murów świątyni jerozolimskiej, obiecując posiadaczom istniejących tam domów wysokie sumy za ustępstwo na rzecz żydów.

Jaki był rezultat tych układów, gazeta wspomniana dotychczas jeszcze nie donosi.

Dowcipny list, rzucający wiele światła na stosunki teatralne, wystosowała w tych dniach młoda artystka niemiecka, panna Marya Barkany, do literata berlińskiego, Biberfelda. Wydając książkę zbiorową p. t. „Pięćdziesiąt lat życia scenicznego”, prosił Biberfeld panny Barkany, ażeby skreśliła mu do tego wydawnictwa autobiografią i odebrał od niej następującą odpowiedź: „Życzysz pan sobie szkicu mojego życia, skreślonego przezemnie samą? Co jednak nowego może panu przynieść biografia artystki, czegoby już w stu innych życiorysach poprzednio nie było? Rzecz bardzo naturalna, iż podobnie jak wszystkie moje koleżanki, jestem o parę lat młodszą od mojej metryki. Rodzice, dowiedziawszy się, iż nieprzeparty zapał gna mnie w objęcia sztuki... jakże to dalej w tych życiorysach?... Dopomóż-że mi pan!... Ah! już wiem... odtrącili mnie z pogardą i dopiero na widok mego powodzenia, wzruszeni do głębi grą moją, przygarnęli mnie napowrót do siebie ze łzami w oczach.... Tableau!... Czy jesteś pan zadowolony?... Czy też może mam panu opowiedzieć, jak to niegdyś, jako mała dziewczynka, przyrzekłam bratu memu zrobić strudel z kapustą.. (każ pan sobie tę leguminę przyrządzić w mojem węgierskiem mieście rodzinnem, Koszycach— wyborna!)... pod warunkiem, że mi się dowie o nazwisku dyrektora wiedeńskiego Burgu”... I tak dalej, w ten wesoły sposób, opowiada artystka, iż napisała do Dingelstedta krótko i otwarcie: „Chcę wstąpić do teatru.” W kilka dni otrzymała odpowiedź, pozbawioną tym razem zwykłych szyderstw starego dyrektora, który radził jej przyjechać do Wiednia... „Stałam się tam wkrótce — pisze dalej p. B. — postrachem wszystkich dworskich artystów, których zanudzałam prośbami o wskazówki i słuchanie długich monologów. Wszyscy uciekali przedemną, do wytrwalszych jednak należeli Laroche, Sonnenthal i Hallenstein, z których pierwszemu szczególniej wiele zawdzięczam. Po krótkim czasie otrzymałam *engagement* do teatru miejskiego w Frankfurcie nad Menem. Miałam wówczas tylko dwie role w moim repertuarze. Ówczesny reżyser tamtejszy, Vollmer, dowiedziawszy się, iż chcę wystąpić jako Adryanna Lecouvreur, zmierzył mnie od stóp do głowy. „W jakimże tłomaczeniu grasz pani tę rolę?” — zapytał. „W niemieckiem” —odpowiedziałam naiwnie, wywołując burzę śmiechu. Pozwolono mi jednak wystąpić... Drugą moją rolą była Grethen. Drżąc z obawy przed tym występem, uklękłam w nocy przed statuą Schillera, prosząc go w gorących wyrazach, ażeby zaopiekował się swoją Gretchen. Wzięłam go za statuę Goethego, popełniając omyłkę, ostatecznie rozwiązującą spór: który z obu poetów jest większym.” Wreszcie dostawszy się z Frankfurtu do Hamburga, opowiada artystka, jaką radością napełniało ją każde odezwanie się starego reżysera miejscowego, Mauricea: „Ty, oślico! to było dobrze zrobione.” Ilekroć natomiast wytrawny ten aktor zaczynał po przedstawieniu swoją przemowę: „Widzi pani, bo to...” i t. d., wówczas artystka miała niechybną wskazówkę, iż grała tego wieczora gorzej. Cały list, trzymany w tym tonie, wskazuje w artystce naturę szczerą, wolną od tak częstej teatralnej pozy, sprawia też bardzo miłe wrażenie.

* * *

Zgromadzenie głuchych. Dzienniki hiszpańskie opowiadają zabawną historyjkę z posiedzenia sądu przysięgłych w Madrycie. Sprawa toczyła się o kradzież, popełnioną u pewnej staruszki, która stanęła przed sądem w charakterze świadka.

Wszczęła się następująca rozmowa:

— Ile pani ma lat? — zapytuje przewodniczący.

— Nie pamiętam dokładnie.

— Jakto? Co pani mówi?

— Zdaje mi się, że było to 4 Lutego.

— Prawdopodobnie pani mnie nie rozumie...

— Owszem może być, iż stało się to innego dnia.

Obrońca zwraca nareszcie przewodniczącemu uwagę, iż świadek jest głuchy. Przywołują więc drugiego.

— Co pan wiesz o tej sprawie?

— Bardzo dziękuję.

— Pan także mnie nie rozumiesz?!

— Powodem było przeziębienie...

— Co?! I ten głuchy? — wrzeszczy prezydujący.

— W istocie... nie dosłyszę cokolwiek...

Staje trzeci świadek, który już z góry oświadcza, że trochę nie dosłyszy.

Prezydujący, podejrzewając podstęp, nie posiada się ze złości.

Wówczas jeden z przysięgłych wstaje, mówiąc:

— Ja go znam, on istotnie głuchy, podobnie, jak i ten nasz kolega (wskazuje jednego z przysięgłych).

Okazało się, iż w sali znalazło się naraz czterech głuchych. Sprawę odroczono, wśród głośnego śmiechu zgromadzonej publiczności.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się arkusz z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Августа 1887 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy.)

Dodatek.

Opis do N-ru 35.

N. 1. Suknia z długą draperyą. Model kroju draperyi i przód spódnicy na dodatku z formami N. XXII fig. 93—94.

Model do ryc. 1 odrobiony był z żółtego batystu, haftowanego w rzucik pąsowy i niebieski; na oddzielnie podanej spódnicy fig. 94, widoczne jest upięcie przedniej, długiej, fartuszkowej draperyi. Na spódnicy z satynki naszyte są marszczone, 25 cent. szerokie wolanty, zakończone pąsową, dzierganemi ząbkami. Draperya przykrojona podług fig. 93, oszyta jest trochę węższemi wolantami; litera *a* oznacza bryt przedni fartuszkowy, którego brzeg górny z jednej strony gwiazdki oznaczającej środek wszywa się gładko w pasek, z drugiej sfałdowany. Brzegi boczne sfałdować podług znaków do 8 cent. długości. Bryt tylny *b* sfałdowany ściśle wzdłuż przy liczbie 60 i w górze podług znaków, przypina się na haftki na baskinie stanika, ozdobionego na pleckach i z przodu, złożonym w fałdy garnirunkiem, i sutemi kokardami ze wstążki.

N. 2 i ryc. 10 w N-rze 36. Suknia z vêtement. Krój na dodatku z formami N. I fig. 1—9.

Do przybrania sukni z fularu w paski szafirowe i białe służył reps jedwabny czerwony. Spódnica podszewkowa oszyta jest u dołu w zęby wyciętem, 6 cent. szerokiem plisowaniem. Bok przedniego bryta zdobi fałdowany, ku górze zwężony pas garnirunku, ułożony z 50 cent szerokiego, ku górze trochę skośnie zwężonego bryta repsu. Boczne i tylne bryty spódnicy zakończone są szpiczastemi zębami, pod które podkłada się 4 cent. szeroki pasek repsu. Na fig. 1—8 dana jest w naturalnej wielkości forma stanika do vêtement, na której główne linie oznaczają krój gładkiej podszewki, a cienka linia na f. 1, wskazuje krój zwierzchniego materyału przodów, przy których z jednej strony szerokość dodaną aż do dołu, a z drugiej tylko do linijki oznaczonej punkcikami, trzeba sfałdować podług znaków. Pod kołnierz wykładany wszyty w listewkę od R do G, przyszywa się krzyżykiem do krzyżyka, kropką do kropki i P do P, szerokie ranwersy przykrojone z repsu podług fig. 8. Przody zapinają się na kryte haftki. Draperya w jednym ciągu przykrojona podług fig. 9, od gwiazdki do 50 ściśle sfałdowana, do 80 przymarszczona, dalej do F gładko zostawiona na biodra, a do dwukropka oznaczającego środek draperyi tylnej znów ściśle sfałdowana, przyszywa się na staniku, w miejscu linijką oznaczonem, szwem odwracanym. Boki przy F są ściśle w fałdy podpięte, a brzegi przednie gładko do dołu spuszczone.

N. 3. Sukienka paletocikowa dla małego chłopczyka.

Paletocik odrobiony z cienkiego sukienka niebieskawo popielatego, dopełnia biała spódniczka, oszyta koronkowym wolantem. Przody zapinają się skośnie pod ranwersem ozdobionym zarówno jak kołnierz i mankiety, haftem płaskim robionym jedwabiem takiego samego koloru, albo szlaczkiem wyszytym na podłożonej kanwie, ściegiem krzyżowym i plecionym, jedwabiem do cieniu. Deseń stosowny na ryc. 33 w N-rze 36. Paletocik z tyłu jest od wcięcia w pasie nie zeszyty, a pasek kończący się pod ranwersem, przykrywa przyszycie szerokich patek przy kieszeniach.



N. 1. Suknia z długą draperyą fartuszkową. Krój i widok przodu spódnicy na dodatku z formami N. XXII fig. 93—94.

N. 2. Suknia z vêtement. Zobaczyć plecy na r. 10 w N. 36. Krój na dodatku z formami N. I f. 1- 9

N. 3. Sukienka paletocikowa dla małego chłopczyka.

N. 4—6. Obrus, serweta podłużna na środek stołu i serwety. Haft krzyżykowy.

Tak obrus na 12 osób, jak serweta podłużna na środek stołu, mająca 138 cent. długości a 47 szerokości, oraz serwetki trzymające 60 cent. w kwadrat, były z mocnego płótna domowej roboty, ozdobione szlakami haftowanemi bawełną pąsową w dwóch cieniach. Stosowne desenie łatwo dobrać w Tygodniku mód. Poprzeczne brzegi obrusa oszyć koronką nicianą 8 centymetrów szeroką.

N. 9. Wykwintne nakrycie stołu.

Jak ubiór, umeblowanie pokoi tak i nakrycie jadalnego stołu podlega wymaganiom i zmianom mody. Oprócz bogatego przyozdobienia bielizny stołowej haftem i kratkami, jakiego wzory dajemy na ryc. 4—6, 11—15, i na ryc. 16—20 w N-rze 36, oprócz pięknych kształtów i kunsztownego wyrobu wszelkich sprzętów stołowych, na co obecnie wielką zwracają uwagę, zachodzą także znaczne zmiany w ustawieniu każdego nakrycia. Dziś oprócz zwykłych sztucców srebrnych kładzie się widelec do ryb, a prócz kieliszków do wina czerwonego, białego i szampańskiego, stawia się kieliszek do wina xeres. Takie nakrycie wymaga jednak bardzo zręcznej ręki, ażeby zastawa jadalnego stołu nie miała pozoru wystawy kryształów i sreber. Gładko złożone serwety mają pierwszeństwo przed kunsztownie składanemi i bywają ozdobione bukiecikiem świeżych kwiatów. Czy *menu* obiadu ma być dodane dla każdego gościa obok karty z nazwiskiem, lub czy jedno ma służyć dla kilku osób to zależy od obszerności stołu i od woli gospodyni.

N. 10, 7 i ryc. 11—12 w N-rze 36. Serweta na stół kredensowy. Haft maszynowy, kratki i robota *macramé*.

Tak szlak dolny 21 cent. szeroki jak i szlaczek zdobiący brzeg górny, podany w naturalnej wielkości na ryc. 11 w N-rze 36 mogą być haftowane maszyną która zastępuje haft płaski i [illegible]linowy ręczny. Na niezbyt cienkiem płótnie haft może być biały, czerwony lub w paru kolorach. Do haftu ręcznego służyć może deseń dany na ryc. 11 w N-rze 20 Tygodnika mód. Kratki ażurowe obrabia się nićmi białemi; wzór takiego szlaczku damy w N-rze 36 na ryc. 18; zastąpić go jednak można wstawką z siatki gipiurowej do której wzór dajemy na ryc. 7. Próbkę bogatej frendzli macramé robionej z nici białych i pąsowych, damy na ryc. 12 w N-rze 36.

N. 11—15. Serwety do herbaty. Haft kolorowy płaski i sznureczkowy. Desenie na dodatku z krojami, fig. 36—38.

Serweta do przykrycia stołu do herbaty, trzymająca wraz z 9 cent. szerokim obrębem 100 cent. w kwadrat i serwetki z 3 cent. szerokim obrębem mające 38 cent. w kwadrat, są z płótna białego, cienkiego. Piękny szlak haftować trzeba jedwabiem kordonkowym w naturalnych kolorach przedstawianych kwiatów. Na fig. 36 dajemy część deseniu na dużą serwetę, któren zestawiać trzeba podług gwiazdki i punktów fig. 37 i 38 dają większe narożniki do dwóch serwetek, wraz z bocznemi gałązkami, podług których trzy mniejsze narożniki łatwo można odrysować. Zobaczyć także deseń na ryc. 17 i na fig. 39.

N. 16—17. Serwetka na półeczkę. Deseń szlaku naturalnej wielkości na ryc. 17, narożnik na fig. 39.

Serwetka mająca 45 cent. długości a 32 szerokości, stanowi garnitur z nakryciem do herbaty. Brzegi wązko obrąbione stębnówką, oszyte są koronką 4 cent. szeroką. Szlak haftuje się w odstępie $1^1/_2$ cent. od obrąbka, ściegiem płaskim i sznureczkowym, filozelą kolorową prawdziwą angielską do prania.

N. 18—21. Szpilki do kapeluszy.

W miejsce zwyczajnych szpilek z czarnemi lub złoconemi główkami, modne są do przepięcia kapeluszy, szpilki srebrne lub złocone, wyrobione ozdobnie w rozmaitych kształtach. Ryc. 18, 20 i 21, przedstawiają szpilki w kształcie szpady a ryc. 19 w kształcie laski.

N. 23 i 49. Pelerynka z kapturkiem. Krój na dodatku N. XIX fig. 87—90.

Fig. 87 wskazuje w jaki sposób przykroić można pelerynkę podług formy stanika, fig. 88 daje w naturalnej wielkości formę części rękawowej, obciskającej rękę a fig. 89 i 90 formę środkowej części kapturka i obłożenia. Model pelerynki zrobiony był z pluszu brązowego i z materyi ottoman w paski blado niebieskie, złoto żółte i brązowe; ta ostatnia służyła na obłożenia i na podszewkę w kapturek. Część obciskającą ręce przykrojoną z pluszu, przyszywa się do dolnego brzegu peleryny, idzie w górę i wszywa się przy wykroju szyi, od krzyżyka do punktu w kołnierzyk stojący 5 cent. wysoki. Na 20 c. długości od góry ku dołowi, dają się haftki do zapinania.

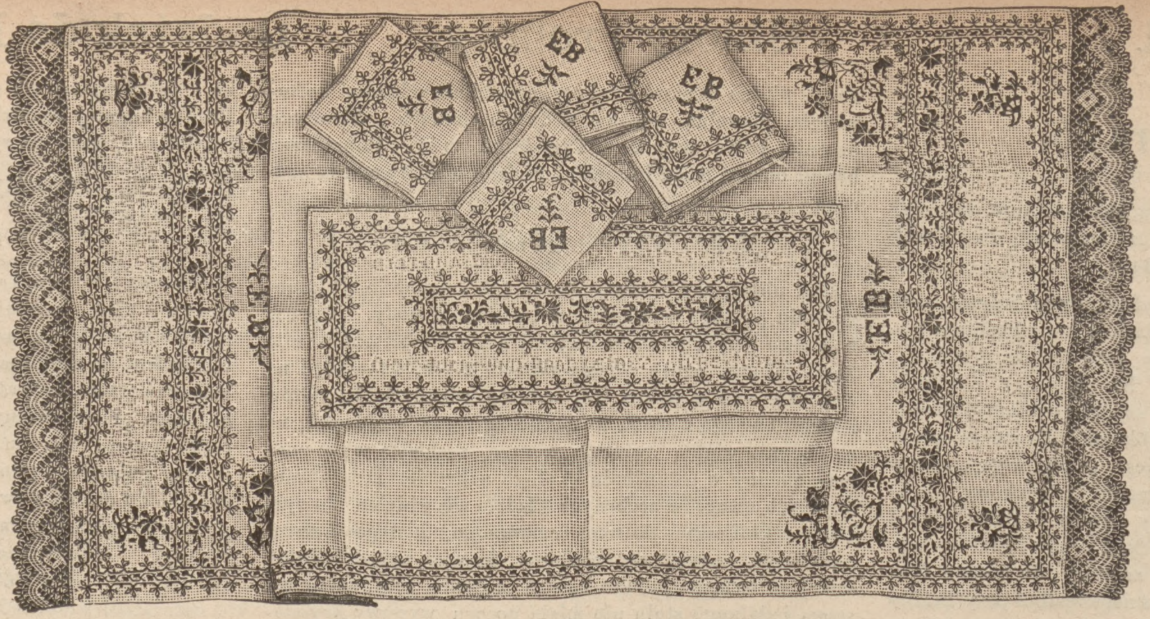
N. 24 i ryc. 25 w N-rze 36. Sukienka marynarska dla dzieci lat 2—4. Krój na dodatku N. XIV f. 65-71.

Ryc. 24 w N-rze 35 przedstawia sukienkę z niebieskiej satynki z kołnierzem, węzłem, mankietami i częścią plastronu z żółtawej piki, a ryc. 25 w N-rze 26 taką sukienkę odrobioną z pąsowega wełnianego materyału i z kaszmiru białego w pąsowe supełki. Główne linie na fig. 65 i 67 oznaczają formę gładkiej podszewki stanika, a cienkie linijki wskazują krój zwierzchniego materyału przodów i pleców, któren zaszywa się w kontrafałdy 6 c. szerokie, a u dołu przyszywa do podszewki literą *m* do *m*, *n* do *n*, *o* do *o*, i spuszcza się w bufę. Fig. 66 daje formę połowy podszewki plastronu, którego zwierzchni materyał 24 c. szerszy, plisuje się, dopełnia częścią karczka z takiego jak kołnierz materyału, i przyszywa do lewej połowy przodu. Mankiet przykrojony podług figury 70, przykrywa pasek $3^1/_2$ cent. szeroki, w który jest wszyty rękaw przymarszczony od *s* do *t*. Spódniczkę 21 cent. długą, mającą 238 cent. obwodu składa się w kontrafałdy 9 cent. szerokie. Węzeł marynarski z końcami układa się z dwóch kawałków materyału 28 cent.

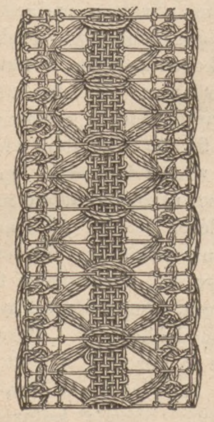
długich, 8 cent. szerokich, w końcach skośnie ściętych.

N. 25—26. Płaszczyk z peleryną dla dzieci lat 2-4. Krój karczka do peleryny N. XX fig. 91. Krój płaszczyka podług N. XIV fig. 65 i 67.

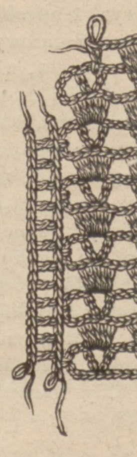
Przody płaszczyka zapinane na guziki, przykroić podług



N. 4—6. Obrus, serwety i serweta na środek stołu. Haft krzyżykowy.



N. 7. Wstawka siatkowa, mogąca służyć do ryc. 10.

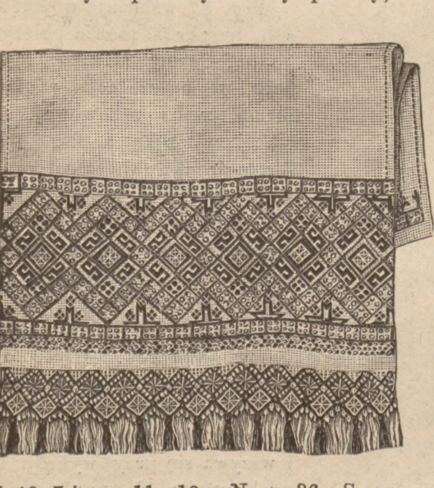


N. 8. Koronka szydełkowa do bielizny dziecinnej.

cienkich linii fig. 65, a plecy podług głównych linii fig. 67. Na modelu płaszczyk z długim stanem, odrobiony był z lekkiego wełnianego materyału w paski pąsowe i białe. Odpowiednio do spódniczki plisowanej, 30 cent. długiej a 160 cent. szerokiej, plisuje się pelerynę 26 cent. długą, przyszytą na karczku, którego formę w naturalnej wielkości dajemy na fig. 91. Górny brzeg peleryny wszywa się szwem odwracanym do wykroju karczka, na którym fałdy przyszyte są nieznacznemi ściegami. Rycina 26 przedstawia z tyłu płaszczyk biały pikowy, suto ozdobiony haftem ażurowym szwajcarskim. Pod haft ażurowy, dodaje się do stanika rękawy paletocikowe z gładkiej piki.



N. 9. Wykwintne nakrycie stołu.



N. 10, 7 i ryc. 11—12 w N-rze 36. Serweta na stół kredensowy. Haft maszynowy. Kratki ażurowe i robota macramé.

N. 27. Deseń na tło do firanek, portier i t. p. Haft *renaissance*.

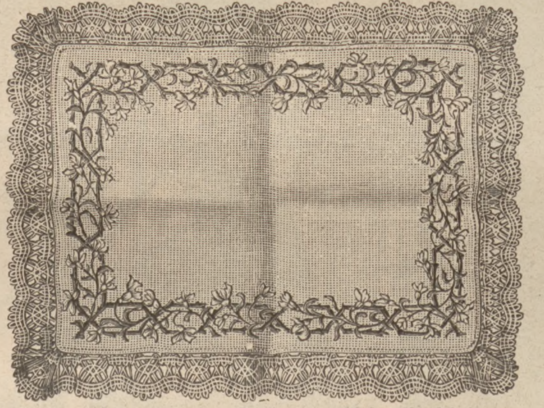
Kontury haftować trzeba ściegiem długim sznureczkowym, jedwabiem cienkim, czarnym, kwiaty i liście kordonkiem do cieniu niebieskawo zielonym i czerwonym. Sznureczek złoty i rząd ściegów sznureczkowych czarnych łączy figury. Krata w gwiazdce środkowej robiona jest nitką złotą przeszywaną jedwabiem niebiesko zielonym. Haft ten robić można na tle płóciennem, wełnianem lub z materyi jedwabnej.

N. 33. Szlak do serwet, sukien i t. p. Haft na płótnie kanwowem.

Każden krzyżyk deseniu zajmuje w płótnie kanwowem 3 nitki w kwadrat; na modelu szlak robiony był krzyżykami, ściegiem plecionym i pojedyńczym, filozelą dwunitkową w kolorze pąsowym, brunatnym, oliwkowym i dwoma cieniami heliotrop.

N. 39. Sznurówka dla dziewczynki lat 6—8. Krój na dodatku z formami N. XVI fig. 74—81.

W plecy sznurówki ryc. 39 wszyte są skośnie, jeden przy drugim, cienkie fiszbiny, dopomagające do prostego trzymania się. Na wszystkich częściach gorsetu w stębnowanie fiszbinów sznureczków oznaczone jest cienkiemi linijkami, a zeszycie pojedyńczych części ułatwiają odpowiednie liczby. Na fig. 74 wskazane jest przyszycie guziczków a z drugiej strony daje się pentelki do zapinania gorseta z przodu, a w plecach wybite są dziurki do sznurowania. Od 9—14 i od 5—16 przyszywa się ramiączka objęte zarówno jak górny i dolny brzeg gorseta, stębnowaną tasiemką. Model odrobiony był z szarego płótna, w górze oszyty wąską koronką trimming.



N. 16. Serweta na półeczkę. Haft płaski i sznureczkowy. Zobaczyć szlak ryc. 17 i deseń na dodatku fig. 39.



N. 11—15. Serwety do herbaty. Haft kolorowy płaski i sznureczkowy. Desenie na dodatku fig. 36—38.

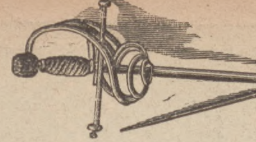
N. 44 i 45. Sukienka bluzkowa dla dziewczynek lat 2—4. Krój podług formy do ryc. 24 i do ryc. 25 w N-rze 36.

Gładką podszewkę stanika kraje się podług wyżej wzmiankowanej formy. Zwierzchni, 52 cent. szeroki materyał pleców; trzeba przy wykroju szyi i na wcięciu w pasie zmarszczyć i odziergać przecięte otwory, do przewleczenia paska. Zwierzchni materyał przodów zapinanych na haftki, ma po 34 cent. szerokości, u dołu dodaje się 6 cent. długości na bufę, a brzegi górne i dolne marszczy się jak przy pleckach. Stanik dopełniają dwie spódniczki, z których spodnia 24 c. długa, a 300 c. szeroka, ułożona jest w kontrafałdy 6 cent. szerokie; zwierzchnia spódniczka 3 cent. krótsza, 215 cent. szeroka, z przodu otwarta i w kontrafałdy złożona, z tyłu jest zmarszczona. Model odrobiony był z blado żółtego wełnianego materyału w kolorową kratkę i z czerwonego kaszmiru; tym ostatnim podszyte



N. 17. Szlak do serwetki ryc. 16. Haft płaski i sznureczkowy.

są 6 cent. szerokie mankiety i 7 c. szeroki wykładany kołnierz. Pasek i kokardy ze wstążki czerwonej z pikotami, 2 1/2 cent. szerokiej.



N. 18--19. Modne szpilki do przepięcia kapeluszy.

N. 47 i 40. Koszulka nocna prosto krajana, ozdobiona kolorowym haftem, dla chłopczyka lat 5—8. Model kroju N. XXIII fig. 95.

Taka koszulka właściwie zastępuje bluzkę przy ubraniu do gimnastyki. Krój łatwy dostatecznie wskazuje fig. 95; na ryc. 40 dany jest w naturalnej wielkości deseń szlaku i wskazany sposób zmarszczenia rękawów przy mankiecie 16 cent. szerokim. Marszczenie stanowiące zarazem ozdobę, zaczyna się w odstępie 4 cent. od rozporka nićmi kolorowemi, a ściegi muszą być równe i mijać się w sposób wskazany na ryc. 40. Każden rząd ściegów marszczy się nitką odmienną, naprzemian czerwoną, czarną, zieloną, żółtą i niebieską, a ściegi przechodzą raz na spód, drugi raz z wierzchu. Te samy kolory służą do haftu krzyżykowego, któren zdobi mankiety, kołnierz stojący i brzegi przodów. Kanwy się nie podkłada tylko w płótnie wyciąga się każdą czwartą nitkę wszerz i wzdłuż; tym sposobem otrzymuje się kwadraciki z trzech nitek, których na szerokość deseniu potrzeba 15. Brzegi rozporka w stanie, w rękawie i brzeg mankieta odziergać bawełną pąsową. Do związania kołnierza i mankietów służą 12 cent. długie, kwaścikami zakończone sznurki z bawełny pąsowej.



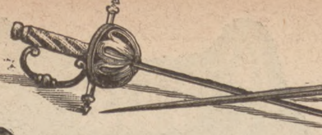
N. 24. Sukienka marynarska dla dzieci lat 2—4. Plecy na ryc. 25 w N-rze 36. Krój N. XIV fig. 65—71.



N. 22. Pelerynka z karczkiem. Krój i opis na dodatku z formami N. II fig. 10—11.



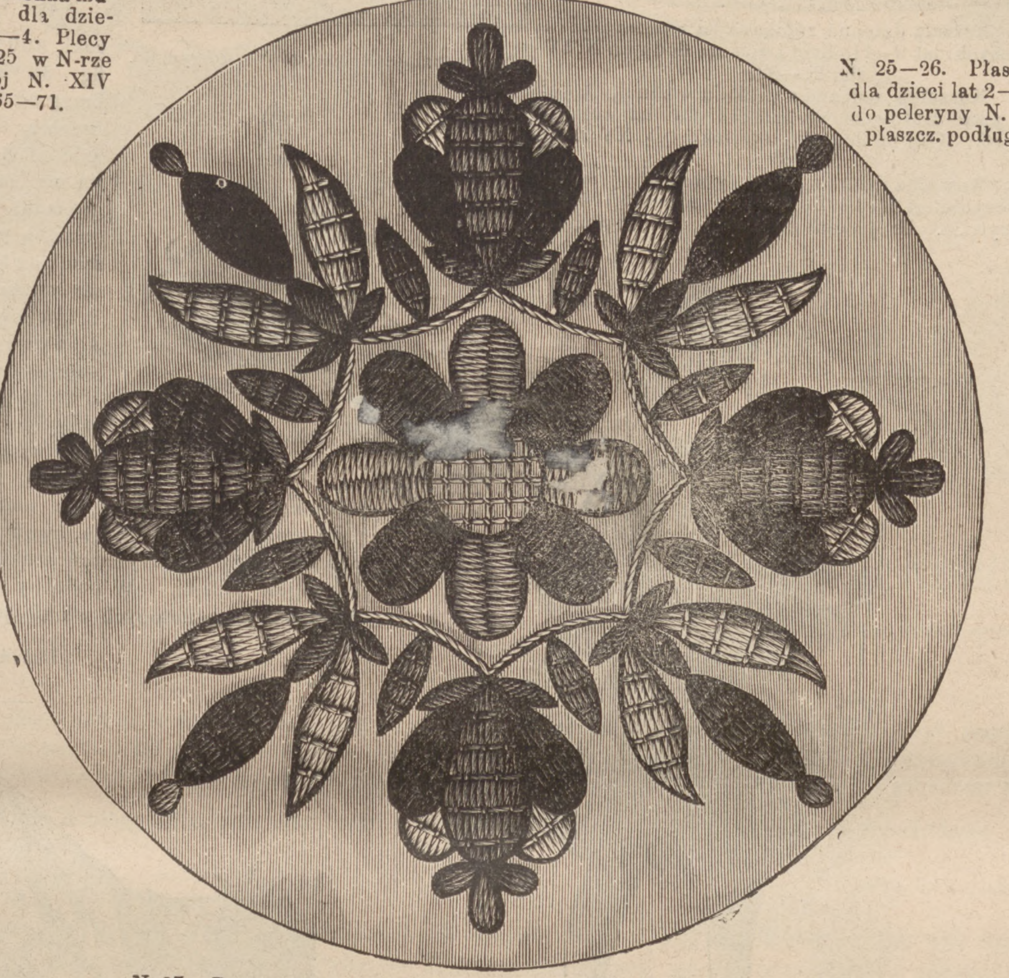
N. 23. Pelerynka z kapturkiem. Plecy na ryc. 49. Krój na dodatku N. IX fig. 87—90.



N. 20—21 Modne szpilki do kapeluszy.



N. 25—26. Płaszczyk z peleryną dla dzieci lat 2—4. Krój karczka do peleryny N. XX fig. 91. Krój płaszcz. podług N. XIV f. 65 i 67.



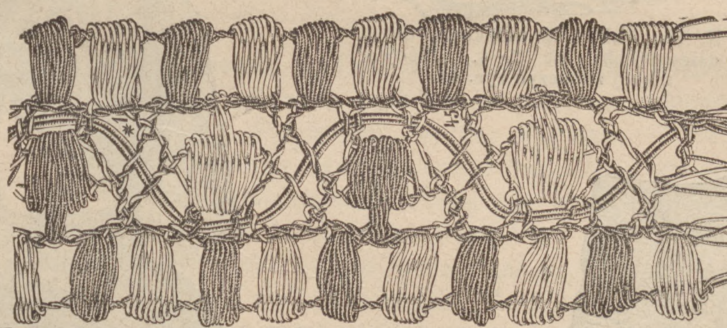
N. 27. Deseń na tło do firanek, serwet, portjer. Haft renaissance.



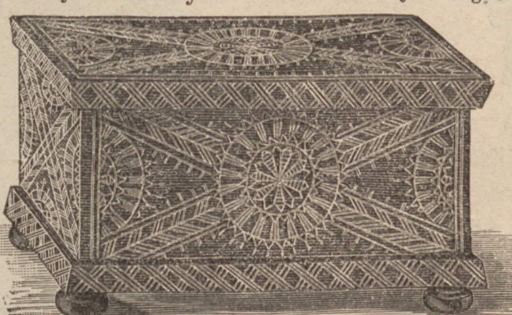
N. 28. Suknia z bluzkowym stanikiem dla panienki lat 12—14. Przód na ryc. 34 w N-rze 36. Krój i opis na dodatku N. III fig. 12—20.

N. 50. Ubranie na wizytę wieczorną.

Do suto ubranej koronkowej spódnicy, dany stanik kaftaniczkowy aksamitny różowy, (vieux rose) haftowany złotem i aplikacyą kwiatów, wyciętych ze starodawnych materyi. Pod szeroko otwarte przody dodany żabot kamizelkowy, ułożony z tiulu naszytego złotemi grelotkami, na gładkiej podszewce. Rękawy i bufa wyglądająca z pod otworów baskiny z tiulu ozdobionego grelotkami. Pasek ze wstążek związanych na kokardę łączy przody kaftaniczka. Kapelusz ze złotej koronki i z tiulu jedwabnego mirtowego koloru, ubrany wstążką zieloną i różami vieuse-rose. Parasolik z dwóch na krzyż, jedna na drugiej położonych chusteczek ze szlakami, oszytych koronką.



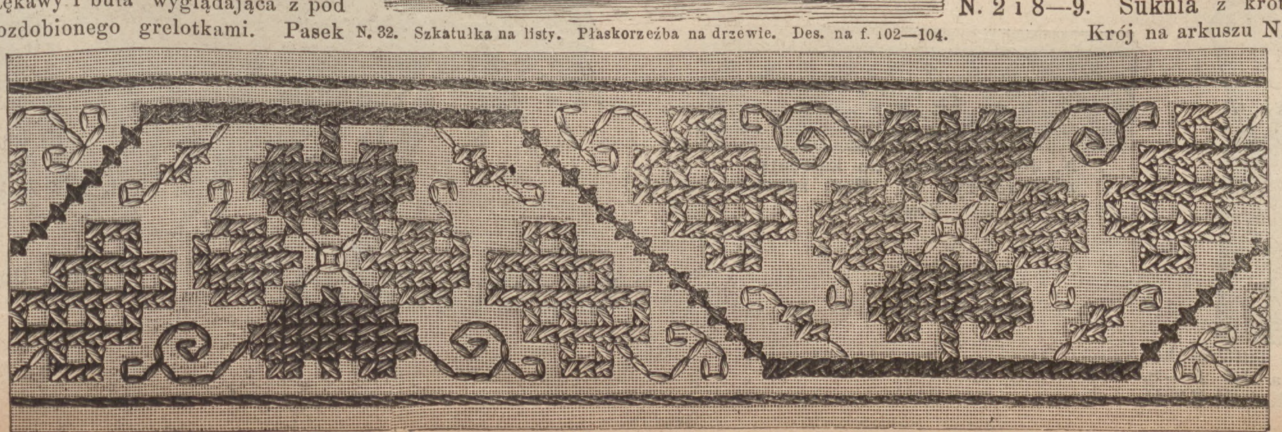
N. 29. Pasmanterya robiona na klockach, z nawiniętych nitek złotych i srebrnych. Deseń do nawijania fig. 96.



N. 32. Szkatułka na listy. Płaskorzeźba na drzewie. Des. na f. 102—104.



N. 30—31. Sukienka z vêtement dla panienek lat 5—7. Zobaczyć przód na ryc. 24 w N. 36. Krój na dodatku N. XIII fig. 58—64.



N. 33. S...k do serwet, sukien i t. p. Haft kolorową fiozelą na płótnie.

Opis do N. 36.

N. 1. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Krój na arkuszu N. XI, fig. 42-50.

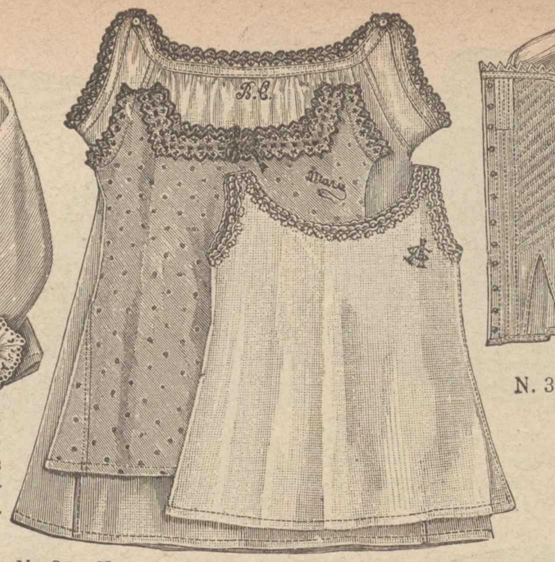
Odrobiona z materyału wełnianego granatowego gładkiego i w kratę pąsową i z pąsowego jedwabnego repsu. Stanik kraje się podług fig. 42—48; fig. 42 daje podszewkę przodów, fig. 43 przód kaftanikowy szeroko otwarty i odsłaniający żabot jedwabny, przyszyty do podszewki fig. 42. Żabot układa się z prostego kawałka gładkiego materyału, zmarszczonego u góry i u dołu i podpiętego w bufę patkami wyciętemi przy kaftanikowych przodach. Zwracamy uwagę na oryginalne rękawy (fig. 47) których zwierzchnia część w górze podług linii cienkiej na fig. 47 od N do O przymarszczona, zachodzi wysoko na ramię i przyszyta jest przy wykroju szyi, dolny brzeg rękawa po złożeniu trzech fałd i przecięciu podług linii podwójnej obszywa się u dołu skosem z materyału w kratę. Brzegi przednie krótkiego kołnierza wyłożonego przez połowę, związane są podwójnie złożonemi skośnemi końcami z materyału w kratę, tworzącemi węzeł marynarski na gładkim żabocie. Fałdowana spódnica w kratę zakończona obrębem jedwabnym 20 cent. szerokim. Draperya składa się z dwóch części: a na f. 49 oznacza część przednią której brzeg górny i jeden brzeg boczny ściśle sfałdowany, wszywa się w pasek a brzeg dolny i drugi bok spuszczony gładko. Litera *b* oznacza połowę prostego tylnego bryta, u góry od gwiazdki do gwiazdki złożonego w dwa pukle, przypinane na baskinie pleców.

N. 2 i 8—9. Suknia z krótkiem upięciem z przodu. Krój na arkuszu N. IX, fig. 33.

Przy piaskowym muślinie w cienkie białe paski, dobrze odbija szeroki haft maszynowy bawełną białą i brązową; kokardy z brązowej atłasowej wstążki z pikotami 2 1/2 cent. szerokiej. Spódnicę z piaskowej satynki, zakończoną falbanką w paski, 8 cent. szeroką przykrywa haftowany wolant 88 cent. sze-



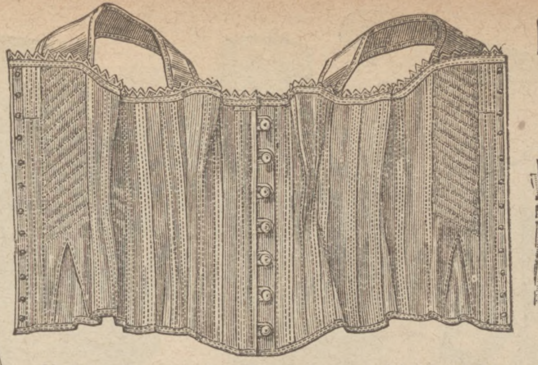
N. 34. Kaftanik nocny z wykładanym kołnierzem, dla dziewczynki lat 6—8. Zobaczyć szlaczek ryc. 41 i 48, krój na dodatku z formami N. VI fig. 24—26.



N. 35. Koszula dzienna zapinana na ramionach, dla dziewczynki lat 9—11. Kroj i opis na dodatku N. IV fig. 21—22.

N. 36. Koszulka dzienna z perkalu w rzucik kolorowy, z kwadratowym wykrojem dla dziewczynki lat 4—6. Krój na dodatku z formami N. XVIII fig. 85—86.

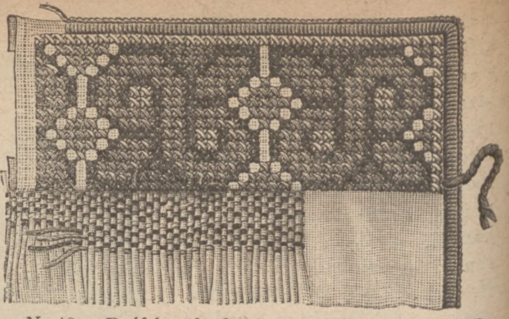
N: 37. Koszulka dzienna z kolistym wykrojem, dla dziewczynki lat 2—4. Zobaczyć szlaczek haftowany ryc. 38. Krój i opis na dodatku N. V fig. 23.



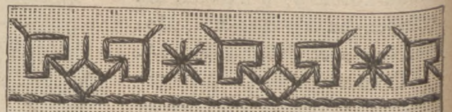
N. 39. Sznurówka dla dziewczynki lat 6—8. Krój na dodatku N. XVI fig. 74—81.



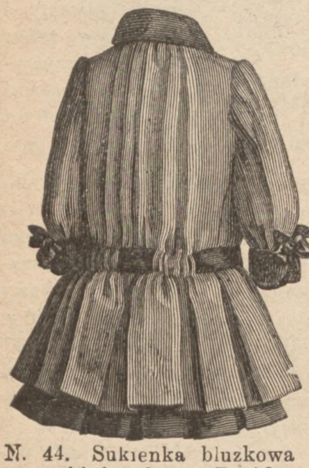
N. 38. Szlaczek haftowany do ryc. 36.



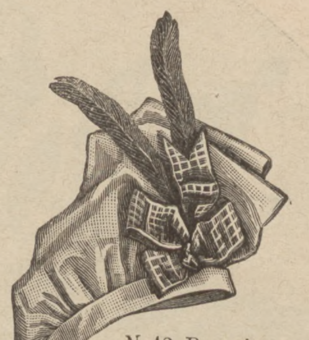
N. 40. Próbka haftu krzyżowego do ryc. 47.



N. 41. Szlaczek do wyszycia jedwabiem kolorowym, do koszuli ryc. 34.



N. 44. Sukienka bluzkowa dla dziewczynki lat 2—4. Przód na ryc. 45. Krój jak do ryc. 30 i 31 oraz do ryc. 21 w N. 36.



N. 42. Berecik dla dzieci.

roki, 300 obwodu liczący. Linija kropkowana na fig. 33 oznacza środek draperyi, której górny brzeg od 144 do 188 wszywa się w pasek; na biodrach aż do tylnych części przefałdowywa się skośnie od 118 do 144 i od 188 do 205 i przyszywa na sukni, 8 cent. poniżej paska. Dalej od gwiazdki do gwiazdki i od krzyżyka do krzyżyka spuszcza się pukle i przyczepia znów brzeg draperyi na środku z tyłu, przy 66 i 278. Pozostałe końce materyału tworzą upięcie tylne, wskazane na ryc. 2, podpięte w kilku miejscach podług znaczków; środkiem między końcami widać z tyłu haft maszynowy w całej długości. Kokarda przyczepiona o 23 cent. poniżej paska. Fałdy przy 118 i 205 przypinają się na baskinie stanika pod kokardami z wstążki. Ryciny 2 i 8 wskazują przybranie stanika haftem; szeroki szlak stanowi plastron podsunięty jednym brzegiem pod fałdy przodów, których podszewka zapięta środkiem na haftki a drugim zachodzący na bok. Środkiem pleców widzimy na ryc. 2 przybranie z haftu i dwóch pasków wstążki przyciśniętej z brzegów fałdami. W podobny sposób ułożone zwierzchnie połowy rękawów, u dołu podłożonych w bufę, podług ryc. 9.

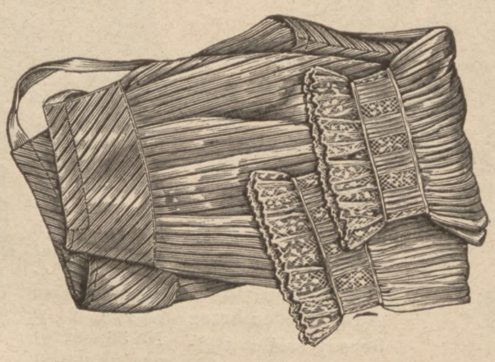
(*Dokończenie nastąpi*).



N. 43. Koszula nocna z karczkiem, dla dziewczynki lat 7—9. Krój i opis na dodatku N. XXIII fig. 95.



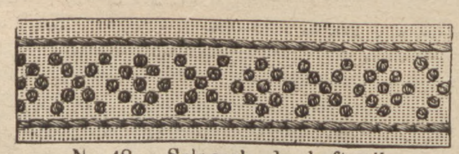
N. 45. Sukienka bluzkowa dla dziewczynki lat 2—4. Plecy i krój zobaczyć ryc. 44.



N. 46. Majtki z szerokim paskiem, dla panienki lat 11—13. Krój i opis na dodatku z krojami N. VII fig. 30—31.



N. 47. Koszula nocna z haftem kolorowym, dla chłopczyka lat 5—8. Próbka haftu na ryc. 40. Krój N. XXIII fig. 95.



N. 48. Szlaczek do kaftanika nocnego ryc. 34. Haft supełkowy.



N. 49. Pelerynka z kapturkiem, przód na ryc. 23. Krój N. XIX fig. 87—90.

N. 50. Ubranie na reuniony.